

Lilian Darcy

Po drugiej stronie Pacyfiku

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jakiś mężczyzna trzymał kartkę z jej nazwiskiem. Nie był to z całą pewnością Terry Davis.

Terry nie potrzebowałby przecież kartki. Znali się od lat. Od razu rozpoznałaby jego twarz, a i on natychmiast by ją dostrzegł wśród grupy pasażerów, którzy wylądowali właśnie na międzynarodowym lotnisku w Sydney. Z daleka witałby ją ciepłym uśmiechem.

Nieznajomy nie uśmiechał się. Nie zauważył jeszcze, że Candace już zobaczyła swoje nazwisko wypisane czarnym flamastrem na prostokątnym kawałku kartonu.

Był znacznie młodszy niż Terry, mógł mieć około trzydziestki. Wysoki, zadbany, ciemnowłosy, o szczupłej, wysportowanej sylwetce znamionującej sprężystość ruchów, ubrany w dżinsy i granatowy, ściśle przylegający do ciała T-shirt. Terry tymczasem zbliżał się do sześćdziesiątki i wyglądał na swój wiek. Nigdy też nie nosił dżinsów.

Candace zaś - doktor Candace Fletcher, jak głosił kartonik - miała lat trzydzieści osiem, rzecz, o której nie potrafiła zapomnieć, tym bardziej w tej chwili. Dwadzieścia cztery godziny temu wyleciała z Bostonu i po tak długiej podróży musiała wyglądać strasznie, pomimo zabiegów w ciasnej, mało sympatycznej toalecie samolotu.

Zbliżyła się do nieznajomego, który z marsem na czole lustrował tłum nowo przybyłych. Najwyraźniej w jego wyobrażeniu nie wyglądała ani trochę tak, jak powinna wyglądać pani doktor Fletcher z Bostonu.

- Pan szuka mnie?

Mars znikł w jednej chwili.

- Jak widać nie dość uważnie, doktor Fletcher. Musiałem się zagapić. Spodziewała się pani zapewne Terry'ego...

- Owszem.

Już miała na końcu języka, że zbyt wiele w jej życiu układa się zupełnie nie tak, jak by się spodziewała, i że ostatni rok był pod tym względem szczególny. Na szczęście jakoś udało się jej powstrzymać od niewczesnych zwierzeń.

- Wszystko wytłumaczę w drodze do samochodu.

- W takim razie chodźmy.

Pchnął wózek z bagażem w stronę wyjścia, Candace zaś szła obok, starając się dotrzymać mu kroku.

- Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Steve. Steve Colton. Będziemy często się spotykali w sali operacyjnej. Często mam dyżury anestezjologiczne. Żona Terry'ego... nie czuje się najlepiej. Dlatego prosił, żebym to ja wyjechał po panią na lotnisko.

- Tak mi przykro - zmartwiła się Candace. - Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Oby - odparł z powagą w głosie - ale jako jej lekarzowi trudno mi o tym mówić. To cały pani bagaż?

- Tak - przytaknęła. - Trzy walizki i torba z rzeczami na rok pobytu. Moja mama pomagała mi się pakować. Jest szalenie dokładana we wszystkim, co robi.

- Uważa, że należy podróżować bez zbędnego obciążenia?

- Uważa, że w Australii, dzięki kursowi waszego dolara, będę miała mnóstwo okazji do zakupów.

- Pod warunkiem, że znajdzie pani coś, co zechce kupić. Terry mówił pani chyba, że Narralee to niewielkie miasteczko. Raczej nie stwarza okazji do rozpasanego konsumeryzmu.

- Moja matka ma niezwykły talent do wydawania pieniędzy. U nas to rodzimie. Poza tym zawsze mogę w ciągu weekendu wyskoczyć do Sydney. W końcu to tylko trzy i pół godziny drogi. Oj - zafrasowała się - to mi uświadamia, że zdecydował się pan spędzić siedem godzin w samochodzie,

żeby po mnie wyjechać, a ja jeszcze nie podziękowałam panu za fatygę.

- Będzie miała pani na to mnóstwo czasu.

- Całe trzy i pół godziny. Zaśmiali się obydwójce.

Miły jest, pomyślała. Dobrze wychowany, a przy tym swobodny i naturalny. Typ Australijczyka, o którym słyszała wiele dobrego i który często zdarzało się jej widzieć w australijskich filmach. Trzy i pół godziny, może jakaś przekąska po drodze. Zapowiada się sympatycznie.

I było sympatycznie. Gawędzili trochę o niezobowiązujących sprawach. O jej podróży. O Sydney. O skąpanych w marcowym słońcu podmiejskich domach z basenami i błękitnymi oczkami wodnymi, którym się przyglądała, kiedy samolot podchodził do lądowania.

Zostawili za sobą miasto, przedmieścia i jechali teraz przez dzikie tereny parku narodowego. Steve Colton zamilkł, a Candace udawała, że drzemie. Ostatnio często się jej to zdarzało. Leżała w łóżku, skłębione, niespokojne myśli kotłowały się w głowie, narastał szum w uszach, zamykała oczy, a sen nie chciał przyjść.

Todd od sześciu miesięcy sypiał z Brittany, a ja nic nie wiedziałam. Powiedział, że nasze małżeństwo od dawna już było wypalone. Czy rzeczywiście?

Gdyby tego dnia w szpitalu nie zdarzyła się awaria prądu i nie trzeba było odwołać jednej operacji... Gdybym nie zobaczyła ich razem w naszym małżeńskim łóżku... Jak długo jeszcze żyłabym w zupełnej nieświadomości? Jak długo zbierałabym odwagę, żeby w końcu odejść?

Przyłapanie ich na gorącym uczynku było wystarczająco koszmarnym przeżyciem, ale naprawdę powalająca była wiadomość, że Brittany jest w ciąży. Zakomunikowali mi o tym, jeszcze zanim uzyskaliśmy rozwód. W pewnym sensie to dobrze, że Maddy nie przyjechała ze mną do Australii.

Oczywiście zrobiło mi się przykro, kiedy usłyszałam, że da sobie świetnie radę bez mamy, ale z drugiej strony będę wreszcie sama, przed nikim nie będę musiała udawać.

A przecież już udaję.

Chociaż łatwiej udawać przed nowo poznanym kolegą niż przed wrażliwą piętnastoletnią córką. Candace nie zamierzała w żadnym razie wtrącać się w relacje Maddy z ojcem. Takich rzeczy się nie robi. Nie ma prawa niszczyć życia Maddy, odbierać jej ojcowskiej miłości, by wziąć odwet na Toddzie, tym bardziej że może wina nie była wyłącznie po jego stronie. Musi zachowywać się racjonalnie, Maddy nie może się domyślić, jak bardzo matka czuje się zdradzona.

Ale ciąża Brittany celebrowana z tak jawną dumą i radością bardzo zabolęła. Za kilka tygodni będzie rodzić...

Samochód zwolnił, stanął. Doktor Colton patrzył na nią w milczeniu. Nie. Steve. Nie może go przecież nazywać doktorem Coltonem. Jest od niej przynajmniej o pięć, sześć lat młodszy. Poza tym mówiono jej, że Australijczycy cenią sobie bezpośredniość.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytała nieprzytomnie. Nie miała pojęcia, jak długo jej umysł błędził po meandrach niedawnej przeszłości.

- Nie, ale pomyślałem, że od śniadania nie miała pani nic w ustach. Wahałem się, czy mam pani pozwolić spać, czy raczej nakarmić. Dobłą podjąłem decyzję?

- Nie spałam - przyznała i ta szczerą odpowiedź przyszła jej z większą łatwością, niż przypuszczała. - Myślałam.

- To czasami pobudza apetyt. Uśmiechnęła się

- Pobudziło.

- No to czas na małe co nieco.

Małe co nieco. Miłe określenie. Ciepłe. Wypowiedziane z nowym akcentem. Kojące zbolęłą duszę. Uśmiechnęła się.

Nie otworzył jej drzwi. Może pomyślał, że zraziłaby ją taka galanteria. Ale stał przy nich i podał jej dłoń, pomagając wydostać się z samochodu. Krawężnik okazał się wyjątkowo wysoki. Źle stąpnęła i musiała wesprzeć się na ramieniu nowego znajomego, a on przytrzymał ją za łokieć.

- Ten trotuar wyraźnie się chwieje! - powiedziała.

- Prywatne trzęsienie ziemi?

- Nie, to łagodniejsza przypadłość. Coś w rodzaju lekkiego zafalowania świata.

Zaśmiał się.

- Wina długiej podróży i zmiany czasu. Która godzina jest w Bostonie?

- Niech pomyślę...

- Policzmy.

- Sydney leży o szesnaście godzin na wschód... - powiedziała - z tego wynika...

- Że w Bostonie jest wczorajszy wieczór - ubiegł ją. - Koło siódmej. Najwyższa pora, żeby coś zjeść. Nie może pani jechać dalej o pustym żołądku.

- Nie - przyznała, choć zawrót głowy był raczej wynikiem miesiący bezsenności i stresu niż długiej podróży i głodu.

- Już panią puścić? - zapytał pogodnie.

- Jeszcze nie.

Od tak dawna nie czuła męskiego ramienia i teraz przypominała sobie, jakie to może być miłe uczucie. Nigdzie się nie spieszyli, nie mieli żadnych spraw do załatwienia. Było jej bardzo dobrze i bardzo bezpiecznie.

Steve mocniej ujął ją pod łokieć i ich oczy na chwilę się spotkały, zanim oboje odwrócili wzrok. Dopiero teraz zauważyła, że jest naprawdę przystojny. Coś takiego w rysach... Wysokie czoło, wyraźne kości policzkowe i mocny zarys brody nadawały twarzy interesujący kształt. I ten

uśmiech. Pogodny, niewymuszony. Kiedy się uśmiechał, w niebieskich oczach pojawiały się wesołe iskierki.

Ale nie chodzi tylko o wygląd. Chodzi...

O Chryste, będziemy mieli romans.

Myśl ta pojawiła się nagle, bez ostrzeżenia, pozbawiając Candace na moment powietrza. Beztroski, wspaniały, pełen radości, uderzający do głowy romans. Który skończy się bez bólu na krótko przed jej powrotem do Bostonu i niewesołego Realnego Świata.

Opuściła dłoń jak oparzona.

To niemożliwe. Absurdalny pomysł. Mnie nie zdarzają się takie przeczucia. Czy naprawdę bym tego chciała? Nie! Skądże. Musiałam się pomylić. Na pewno się pomyliłam.

- Umieram z głodu - oznajmiła głośno.

Powtórz to sobie raz jeszcze. Tylko niech cię nie zdradzi twoja mina, Steve. Ta kobieta jest... Nie jest zachwycająca. Nie jest nawet ładna. Znacznie lepiej. Ona jest... magnetyczna. Kobieca i wrażliwa.

Dopiero teraz to dostrzegł. Wcześniej za bardzo pochłonięty był rozpamiętywaniem, kiedy po raz ostatni był na lotnisku w Sydney. Odprowadzał wtedy Agnethę. Wracala do domu, do Szwecji. Wspomnienie niczym drzazga tkwiąca za paznokciem. Owszem, żadna poważna rana, a przecież bolesna. I doskwierająca bardziej niżby chciał. Zatopiony w myślach czekał na amerykańską panią doktor.

Czy brałem pod uwagę ślub z Agnethą? Nie. Czy gdyby mnie poprosiła, żebym pojechał z nią do Szwecji, pojechalibyśmy? Nie. W takim razie gdzie tu problem?

Cholerne męskie ego. Uraza, że Agnetha traktowała go tak samo jak deskę surfingową, którą kupiła w sklepie sportowym w Narralee. Przedmiot, który sprawiał przyjemność podczas pobytu na miejscu, ale którego nie ma sensu targać ze sobą do rodzinnego kraju. Chyba że na zdjęciu. Deska ciągle stała w

szopie obok jego własnej, a uśmiechnięta Agnetha pomachała mu dłonią na pożegnanie. Od jej wyjazdu minęło pięć miesięcy. Nie przysłała nawet kartki.

A teraz kolejny gość z północnej półkuli. Specjalistka od chirurgii miękkiej zjeżdżająca na rok do prowincjonalnego szpitala, żeby podzielić się z australijskimi kolegami swoim doświadczeniem. O jakieś piętnaście lat starsza od Agnethy. Zamiast płowej skandynawskiej czuprynki gęste, długie, zaplecione w warkocz włosy w kolorze miodu. Skóra, na której pod australijskim słońcem pojawiają się zapewne piegi, gdy skóra Agnethy zawsze pozostawała doskonale gładka i lekko złotawa. Candace ma migdałowe ciemnobrązowe oczy, niczym dwa wypolerowane kamienie. Oczy Agnethy były jasnoniebieskie i okrągłe. Agnetha miała ponętą figurę, duże piersi, zaokrąglone biodra, sylwetka Candace jest niemal chłopięca.

A twarz smutna.

Terry wspominał mu, że doktor Fletcher ma piętnastoletnią córkę i że niedawno się rozwiodła. Stąd ten smutek w twarzy, błakający się koło ślicznych pełnych ust i dodający jej tylko urody.

Tylko jedno Agnetha i doktor Fletcher mają wspólne. I wtedy, i teraz, już w godzinę czy dwie po spotkaniu Steve wiedział, że między nim i każdą z nich przeskoczyła ta bardzo szczególna iskra, której nie sposób nie odczuć i której nie można zaprzeczyć.

Jeszcze nie wiedział, co pocznie z tym doznaniem.

Zabrał Candace do przytulnej małomiasteczkowej knajpki, gdzie podawano świetną herbatę.

- Mój żołądek o wpół do dwunastej w południe domaga się kolacji.



Po tym wyznaniu zamówiła zupę z dyni, potem dużą porcję sałatki i gorącą bułkę z masłem, na koniec porcję ciasta z truskawkami i bitą śmietaną. ,

Steve, sam niezbyt głodny, popijał czarną kawę i obserwował, jak Candace je ze smakiem, ale i z umiarem.

Szczególnie przyjemnie było patrzeć, jak zajada się bitą śmietaną. Kiedy skończyła, w kąciку ust została jej maleńka biała kropka. Zdając sobie świetnie sprawę z intymności tego gestu, nachylił się i starł plamkę. Candace nie zaprotestowała, nie zdawała się nawet zaskoczona.

Ona wie, pomyślał. Wie tak samo dobrze jak ja. Wie, że coś się między nami może wydarzyć i że żadne z nas nie przesądziło jeszcze, czy się wydarzy.

Jak tu pięknie, pomyślała. Po prawej zarośnięta gęstym lasem eukaliptusów skarpa stopniowo przechodząca w soczyście zielone łąki i pastwiska. Po lewej w oddali brzeg i morze skrzące się w promieniach słońca jak oczy Steve'a Coltona.

A ja będę się cieszyć tym widokiem przez następny rok.

Widokiem morza, ma się rozumieć.

Terry wynajął dla niej umeblowany dom nad samą plażą. Przysłał jej wcześniej zdjęcia kilku, by sama zdecydowała, który wybrać. Samo Narralee, cofnięte mniej więcej na dwie mile w głąb lądu, rozłożyło się po obu stronach ujścia rzeki. Candace wolała od spokojnej, leniwej, choćby i pięknej rzeki wody oceanu za oknem, świeżą bryzę i tyle samotności, ile możliwe. Wybrała domek w niewielkiej osadzie o nazwie Taylor Beach o dziesięć minut jazdy od miasteczka.

Steve miał adres i klucze. Ledwie podjechali, ledwie spojrzęła, wiedziała już, że domek jest o wiele ładniejszy, niż mogła oczekiwać. W przyziemiu znajdowały się pomieszczenia gospodarcze: garaż, pralnia i składzik, a nad nimi wyniesiona dość wysoko część mieszkalna ze

wspaniałym widokiem na ocean. W pobliżu stało kilka innych domów, ale oddzielające je od siebie gęste szpalery wysokich krzewów zapewniały wystarczające poczucie prywatności.

Steve pomógł jej wnieść bagaże, a potem z uśmiechem na twarzy patrzył, jak chodzi z pokoju do pokoju, wydając z siebie nieartykułowane i niezborne okrzyki zachwytu.

- Rozumiem, że ci się podoba? - zapytał, kiedy skończyła już zwiedzanie i stanęła przy drzwiach na zadaszony taras.

- Jest wspaniały.

- Powiedziałem Terry'emu, że jeśli potrafisz czytać z fotografii, na pewno ten właśnie wybierzesz.

- Zdjęcia nie potrafiły oddać jego urody.

- A mój opis?.

- Więc to ty wyprodukowałaś opis?

- Starłem się być obiektywny, ale chyba mi się nie udało. Jestem fanatykiem tej osady i nie rozumiem, jak ludzie mogą mieszkać gdziekolwiek indziej.

- Będziemy sąsiadami?

- Mieszkam pięć domów stąd.

- No tak. - Odwróciła głowę, zanim ich spojrzenia zdążyły się spotkać. Pięć domów. To mogłoby okazać się wygodne. - Podoba mi się i położenie, i okolica, i wnętrza - dodała z pośpiechem.

Domek był niewielki. Miał salonik łączący się z częścią jadalną, nowoczesnie wyposażoną kuchnię, sporą łazienkę i dwie przestronne sypialnie: w jednej znajdowało się małżeńskie łóżko, w drugiej dwa oddzielne łóżka. Proste wnętrza, ale wobec nieba za oknami i niekończącego się przestworu oceanu nie potrzebowała więcej miejsca. Wystarczyły jej te utrzymane w błękitno - żółtej tonacji wnętrza, dobrana z wyczuciem ceramika i kilka grafik na ścianach.

Steve otworzył przeszklone drzwi i podmuch morskiej bryzy wydał rozsunięte dla lepszego widoku zasłony. Candace wyszła na urządzone wiklinowymi meblami taras i wciągnęła w płuca przesycone solą powietrze. Nie przepadała za wikliną, ale tu te meble nie raziły. Będzie mogła jadać przy niewielkim stoliku ze szklanym blatem i patrzeć na ocean...

- Linda chyba kupiła najpotrzebniejsze rzeczy - odezwał się Steve. - Sprawdzę w lodówce.

- Dzięki.

- Będę musiał zaraz się zbierać. Mam kilka umówionych wizyt, pierwszą o drugiej.

- Byłeś wspaniały. Bardzo ci dziękuję za wszystko. - Candace weszła z powrotem do pokoju.

Rozmawiali teraz ze sobą bardzo uprzejmie i neutralnie.

- Terry prosił, żebym jutro rano zawiózł cię do szpitala. Poznasz wszystkich, rozejrzysz się, a w poniedziałek zaczniesz normalną pracę. Odkąd doktor Elphick przeszedł przed Bożym Narodzeniem na emeryturę, musieliśmy odsyłać wielu pacjentów do szpitala kilkanaście mil stąd, ale kilka osób wolało poczekać z operacjami, więc będziesz miała od pierwszej chwili ręce pełne roboty.

- Chciałam właśnie o to spytać. O to i o pozostałe dwa szpitale, w których mam przeprowadzać zabiegi.

- Terry wszystko ci wyjaśni. Przyjadę po ciebie o ósmej trzydziści. Nie za wcześnie?

- Będę gotowa.

Przyglądała się, jak Steve otwiera lodówkę i spizarkę. Skinął głową.

- Tak, Linda kupiła podstawowe rzeczy.

- Kto to jest Linda?

- Linda Gardner, nasz lekarz położnik. Będiesz z nią dzieliła gabinet. Terry tak zdecydował. Być może jutro ją

poznasz. Zdaje się, że zaplanowała ci kolację z jajek. Chyba że zamówisz sobie coś przez telefon.

- Już podłączony? - ucieszyła się.

- Owszem. Na pewno zechcesz zatelefonować do domu.

Kolejna lokalna odmienność. Zatelefonować zamiast po prostu zadzwonić. Ładne. Trochę staroświeckie.

- Owszem, ale nie widzę aparatu.

- Wydaje mi, że stoi przy łóżku.

- Dzięki. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

- Do zobaczenia jutro.

W chwilę później zbiegł po schodach i odjechał.

Została sama. Od miesięcy tęskniła za taką samotnością. W lodówce znalazła dzbanek wody z lodem, a potem zobaczyła jajka, o których wspominał Steve i zdecydowała, że zupełnie jej wystarczy taka kolacja. O ile wcześniej nie pójdzie spać. Podłoga kołysała się jej pod nogami niby pokład statku. Ze szklanką w ręku wyszła na taras napawać się widokiem morza.

Tylko ja i ocean za całe towarzystwo.

Czuła się inaczej niż oczekiwała, była znacznie szczęśliwsza i spokojniejsza. Bała się, że zaraz po wyjściu Steve'a padnie na przykryte patchworkiem szerokie łóżko i zacznie lać łzy. Trochę nawet na to czekała - wreszcie mogła sobie pozwolić na przynoszący ulgę płacz w całkowitej samotności. A jednak nie chciało się jej płakać.

To matka wpadła na ten pomysł. Mama, niezawodna Elaine West.

- Może byś wyjechała, kochanie? - zapytała przed pięcioma miesiącami, kiedy Candace poszła do niej ze swoim bólem zranionego zwierzęcia obudzonym wiadomością o ciąży Brittany.

- Nie wiem, jak to zniosę, mamo. Ona promienieje, a on... zamienił model na nowszy.

- Rozumiem, co masz na myśli, Candy.

- Zrobili badania. Już wiedzą, że to chłopczyk. Todd nagle doszedł do wniosku, że zawsze marzył o chłopcu, a mnie przez lata powtarzał, że jedno dziecko to dość i że nie stać nas na drugie. Przystałam na jego argumenty. Oddałam znajomym niemowlęce ubranka. Mówiłam sobie, że ma rację, że wystarczy nam Maddy, ale nie przestałam pragnąć drugiego dziecka. I teraz...

- Nie mogłabyś wyjechać? - powtórzyła Elaine.

- Wyjechać?

- No tak. Załatw sobie jakieś stypendium albo jedź w ramach wymiany zawodowej. Na przykład na Alaskę.

- Na Alaskę?

- To niedobrze, że masz ich cały czas pod nosem, Candy.

Mama była jedyną osobą, która miała prawo mówić do niej Candy, i to też tylko wtedy, gdy Candace chciała znowu się poczuć jak sześciolatka dziewczynka szukająca wsparcia w matczynej mądrości.

- Po co ci spotykać Brittany na siłowni?

- Ha! Po co mi w ogóle siłownia?

Półtora roku wcześniej Todd wykupił kartę rodzinną, twierdząc, że powinni obydwójce zatroszczyć się o kondycję. Skończył właśnie czterdzieści cztery lata i zaczynał dbać o siebie. Dwudziestopięcioletnia Brittany prowadziła tam zajęcia z aerobiku. No i zadbała o kondycję Todda. Koniec opowieści. Banał, stereotyp, żalosna klisza.

- Albo w szpitalu.

- W szpitalu?

- Badania prenatalne. Wasz ginekolog przyjmuje przecież w sąsiednim budynku. Mówiłaś, że Brittany wybrała sobie ze wszystkich bostońskich lekarzy akurat jego.

- Masz rację. Wiem, że będę ją widywała. Mam w końcu z Toddem dziecko. Czasami odbieram Maddy z jego

mieszkania, zamiast umówić się gdzieś na neutralnym gruncie. Zdarza się nawet, że zamienimy kilka słów - mówiła z goryczą.

- Może Maddy zechce pojechać z tobą? - podsunęła Elaine.

Wtedy Candace przypomniała sobie słowa Terry'ego Davisa, rzucone mimochodem na niedawnej konferencji medycznej, że australijska prowincja cierpi na chroniczny brak specjalistów. Załatwiła sobie czasowy kontrakt, Maddy zaś zdecydowała się zostać z ojcem.

Nie zrobiła tego przeciwko matce, Candace dobrze o tym wiedziała. Chodziło o przyjaciół, szkołę, przyzwyczajenia, nie zaś o to, że miałyby bardziej kochać ojca niż mamę, niemniej jej wybór sprawił Candace przykrość.

Dorasta, ma swój świat, swoje sprawy. Będę za nią tęskniła bardziej niż ona za mną, ale to najlepsze, co mogłam zrobić. Wyjechać.

Wypiła wodę i odnalazła stojący przy łóżku aparat. Najpierw zadzwoniła do Maddy. Odebrała świergocąca Brittany i w jej głosie natychmiast pojawił się ton zimnej uprzejmości, kiedy tylko usłyszała, kto jest na drugim końcu linii.

Candace chwilę rozmawiała z córką, po czym zadzwoniła do Elaine.

- A widzisz? - oznajmiła ta z satysfakcją, gdy usłyszała o domku przy plaży, morzu i niebie. - Byłaś już na spacerze?

- Nawet nie zdążyłam się jeszcze rozpakować.

- Doktor Davis wyjechał po ciebie na lotnisko?

- Wysłał kolegę. Udało jej się nie wymienić imienia Steve'a. Wiedziała doskonale, dlaczego tak się zachowała, i ta wiedza bardzo ją zaniepokoiła. Odłożyła słuchawkę, spojrzała na walizki i pokazała im język.

- Myślicie, że was rozpakuję, kiedy tuż obok czeka plaża?  
Figa.

Przemierzyła dwa razy niezbyt długi odcinek plaży, wdychając rześkie powietrze i brodząc w wodzie, po czym wróciła do domu, rozpakowała bagaże, wzięła prysznic, zjadła jajecznicę na grzance i o siódmej wieczorem leżała już w szerokim wygodnym łóżku, kołysana do snu szumem fal.

Zasnęła tak nagle, jakby ktoś otworzył płytkę umieszczoną na jej czole i wyjął baterie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Od miesiący tak dobrze nie spała. Wypoczęta obudziła się następnego ranka już o piątej. Miała mnóstwo czasu, żeby wyprasować spódnicę i bluzkę, wziąć poranny prysznic i zjeść śniadanie na tarasie, podziwiając słońce wstające nad oceanem. O ósmej trzydzieści przyjechał Steve.

Punktualnie co do minuty. Jeśli wczoraj mogła myśleć, że jej przeczucia dotyczące chemii mogły być wytworem zmęczenia po długiej podróży i gwałtownej zmiany stref czasowych, to dzisiaj ta hipoteza zawałała się w ułamku sekundy.

Chemia nadal działała, niewidoczna, nieuchwytna, lżejsza od powietrza, ale realna, jakby w pokoju pojawiła się trzecia osoba, chociaż oboje udawali, że nie zauważają jej obecności. Nie próbowali się do siebie zbliżyć ani wymieniać spojrzeń, lecz Candace była pewna, że Steve czuje to samo co ona.

Spędziła pół godziny z Terryem w szpitalu rejonowym w Narralee, gdzie Terry od dwudziestu pięciu lat był chirurgiem wizytującym i jednocześnie szefem lokalnego wydziału zdrowia. Wszystko było tu odmienne, brakowało na przykład wyraźnej, oficjalnej hierarchii wśród lekarzy, do której była przyzwyczajona w Stanach. W Bostonie pracowała w nowoczesnym szpitalu na sześćset łóżek, tu zobaczyła stary pawilon mogący pomieścić zaledwie pięćdziesięciu chorych.

- Z tego sześć to łóżka polityczne - oznajmił Terry zagadkowo.

- Polityczne?

- W zwykłym rozumieniu nie są to w ogóle łóżka, tylko leżanki, na których kładziemy po zabiegu pacjentów ambulatoryjnych, żeby przez pierwsze godziny kontrolować ich stan, ale dla dodania szpitalowi powagi nazwaliśmy leżanki łózkami i tak się już przyjęło.



Mówił zmęczonym głosem, w którym czuło się napięcie i Candace miała mu ochotę powiedzieć: Idź, ktoś inny mnie oprowadzi. Na przykład Steve Colton? Ale ten rzucił coś o „pilnych sprawach do załatwienia”, zostawił ją pod opieką Terry'ego i zniknął. Teraz zastanawiała się niespokojnie, kiedy go znowu zobaczy.

No więc miała ochotę powiedzieć Terry'emu, żeby sobie poszedł, bo się spieszy, a oprowadzanie może poczekać. Zabierał dzisiaj żonę, Myrnę, do Sydney, do jednego z najlepszych tamtejszych onkologów. Wczoraj odebrała wyniki mammografii, które rozwiały wszelkie wątpliwości co do diagnozy. Można było tylko mieć nadzieję, że rak został na tyle wcześnie wykryty, by go pomyślnie usunąć, ale Terry był rozbity. Uparł się jednak, że musi pokazać Candace szpital i zamienić z nią kilka zdań, jakby uważał, że winien jej zadośćuczynić za to, że nie pojawił się poprzedniego dnia na lotnisku.

Uznawszy, że sprzeczeki tylko opóźnią wyjazd Davisów do Sydney, Candace usiłowała zadać kilka inteligentnych pytań i uwolnić od siebie biednego Terry'ego.

- Nie macie tu ani jednego lekarza na stałym etacie?

- Nie. Tylko wizytujących. Miejscowi lekarze domowi zajmują się nagłymi przypadkami, asystują przy operacjach, pełnią dyżury, dają narkozę. Steve ci już pewnie opowiadał.

- Wspominał.

- Jest nas kilku, ale musimy znać różne specjalności i obsługiwać okoliczne szpitale, tak jak ty będziesz robiła. Musisz opracować sobie własny grafik. Gabinet będziesz dzieliła z Lindą Gardner.

- Steve mi mówił. Dziękuję, że o tym pomyślałeś. Bardzo chcę ją poznać.

- Polubisz ją, myślę. Mężatka, dwójka dzieci.

- Będziemy miały wspólny temat!

- Będiesz raz w tygodniu operowała tutaj, w Narralee, i co tydzień na zmianę raz w Harpoon Bay, raz w Shoalwater.

- Nawykłam do większego tempa.

- Nauczysz się odpoczywać.

- Zamierzam.

Szpital zaczął się jej podobać. Dach z czerwonej dachówki porastał wiekowy mech. Nad wejściem widniała data, rok 1936, a otoczony trawnikiem pawilon ocieniały wysokie eukaliptusy. Szyby w oknach miały złotą folię odblaskową. Większość z nich stała otworem, wpuszczając do sal rześkie powietrze. Rzecz w Bostonie, gdzie zimy były arktyczne, lata skwarne, a szpitale zaopatrzone w klimatyzację, niezwykła.

Różowe ściany, podłogi pokryte cętkowanym linoleum, doskonała czystość i atmosfera spokoju zdawały się mówić, że szpital nie musi być tak strasznym miejscem, jak to pokazuje telewizja w godzinach najwyższej oglądalności.

Terry z pedanterią pokazywał Candace wszystko po kolei, od końca do końca. Porodówkę na osiem łóżek, z ładną werandą, aptekę, ambulatorium, oddział ogólny, blok operacyjny z aneksem pooperacyjnym, urazówkę. Nawet malutką kaplicę i maciupieńki, godzinę dziennie otwarty kiosk.

Oboje żegnali się z ulgą.

- Muszę jechać, Myrna na mnie czeka - oznajmił wreszcie. - Niedługo powinien wrócić Steve. Poproś kogoś, żeby ci zrobił kawę i...

- Sama potrafię sobie zrobić kawę, Terry - powiedziała łagodnie. Kilka siwych kosmyków opadło mu na czoło, i masował brzuch z taką miną, jakby go zgaga piekła. - Pozdrów serdecznie Myrnę i jedźcie bezpiecznie. - Niemal wypchnęła go przed budynek i poszła do dyżurki sióstr, gdzie została poczęstowana kawą wyjątkowo podłego gatunku. Nie skończyła jej jeszcze pić, gdy w drzwiach pojawił się Steve.

- Co chcesz dzisiaj robić? - zagadnął od progu. - Ja nie mam dziś pacjentów, a Terry przepuści mnie przez maszynkę do mięsa, jeśli się tobą nie zajmę.

- Co ci zrobi?

- Przepuści przez maszynkę do mięsa.

- Brzmi groźnie.

- Sama widzisz. Lepiej się zgódź.

- Zgadzam się.

- Bardzo dobra decyzja.

- Muszę zrobić zakupy, otworzyć konto i kupić samochód - wyliczyła bez wahania.

Steve tylko uniósł brwi w podziwieniu na tę precyzję i zdecydowanie.

- Musisz nauczyć się jeździć po złej stronie drogi - podsunął.

- Owszem. - Candace straciła trochę na pewności siebie, ale wyglądała równie ślicznie jak przed chwilą.

- Mogę udzielić ci kilku lekcji - zaofiarował się. - Od tego powinnaś zacząć. Pojedziemy w jakieś spokojne miejsce, trochę się oswoisz z kierownicą po prawej stronie i potem pojedziemy do banku i po zakupy. Ja będę siedział na miejscu pasażera i od czasu do czasu wydawał syk przerażenia.

- Oraz wciskał nogę w podłogę, jakbyś chciał hamować. Czy twój samochód ma automatyczną skrzynię biegów?

- Tak.

- I jest ubezpieczony?

- Od wszelkich nieszczęść.

- To do roboty, zanim zacznę wynajdywać usprawiedliwienia. Jak tu wygląda transport publiczny?

- Na tyle kiepsko, że trudno byłoby ci kursować między kilkoma szpitalami rozrzuconymi w promieniu pięćdziesięciu mil.

Pierwsza lekcja nie była wcale taka straszna, jak się im obojgu wydawało.

Nie flirtuję z nią, uświadomił sobie Steve. Dlaczego? Przecież zamierzałem. A przecież w okolicy cieszył się całkiem zasłużoną opinią. Miał trzydzieści trzy lata. Matt, jego starszy o trzy lata brat, od jedenastu lat żonaty, ciągle mu powtarzał:

- Spoważnij wreszcie. Ustatkuj się, bo będzie za późno. Przestań wyszukiwać sobie dziewczyny jak Agnetha, o których z góry wiesz, że cię zostawia. Przedtem była ta z Perth, niewiele lepsza.

A on myślał: jasne, ustatkuję się. Nie nadaję się na starego kawalera. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie dojrzałem do małżeństwa. Kiedy brał na siebie jakąś odpowiedzialność, a małżeństwo to przecież odpowiedzialność, chciał mieć pewność, że jej sprostą. A tymczasem flirtował z najróżniejszymi dziewczynami. Nic poważnego, nic zobowiązującego dla żadnej ze stron. Raczej poszukiwanie.

Żadnych podtekstów, żadnych dwuznaczności, aluzji do seksu. To go mierziło.

Candace miała zostać w Australii tylko rok i był tego świadom. Więc może jednak z nią flirtuje. Żartują obydwójce, śmieją się, pokpiwają z siebie, ale jakoś inaczej niż zwykle, pewnie dlatego nie nazywam tego flirtem.

Dlaczego?

Bo nie chcę jej spłoszyć.

Bo jest coś takiego w jej oczach, w układzie jej zmysłowych ust. Zważywszy jej rozwód, zapewne oczekiwała teraz od mężczyzny namysłu, nawet jeśli wzajemne przyciąganie było tak silne jak między nimi.

A może oboje ulegają złudzeniu. To że im się wydaje, że coś do siebie czują, nie oznacza, że mają od razu poddawać się

swojej intuicji. Instynkt podpowiadał mu, że tym razem powinien działać rozważnie.

Kiedy poznał Agnetę, nie zastanawiał się ani chwili, ona też nie...

Jakaś myśl błysnęła mu w głowie i zaraz zgasła.

Spędzili godzinę na spokojnych uliczkach nowego osiedla, aż Candace oznajmiła, że gotowa jest wracać do centrum.

- Wiem, że tak nie mówicie - dodała.

- Wystarczy powiedzieć, że jedzie się do miasteczka.

- Mów którądy.

Dojechała bez problemów do banku, otworzyła konto, potem pokazał jej drogę do supermarketu usytuowanego najbliżej Taylor Beach. Ruszyli wzdłuż półek i po chwili wielki sklepowy wózek wypełniony był po brzegi różnymi dobrami.

Zakupy z kobietą to pouczające doświadczenie. Dlaczego tyle czasu spędziła w alejce ze słodyczami? Czy naprawdę gotuje, czy tylko odgrzewa jedzenie w mikrofalówce? Agnetha żywiła się trochę jak królik: seler, marchewka, orzeszki. I jak koń: różnymi płatkami, które smakowały jak sieczka.

Dieta Candace zdawała się bardziej interesująca. Patrzył, jak z rozkoszą węża melon, po czym wkłada dwa na pudło z mrożonym sernikiem czekoladowym. Wybrała kodery jagnięce, kilka medalionów wieprzowych, gorące kubki z rosołem. W wózku wylądowała jeszcze gorąca czekolada, herbata, trzy gatunki soku i cztery gatunki kawy.

Wydawało mu się, że subtelnie i niepostrzeżenie analizował jej zakupy. Nie miał racji. Kiedy stanęli w kolejce do kasy, przechyliła głowę i zapytała:

- De straciłam punktów, doktorze? Oczywiście, pięćdziesiąt za sernik i ciastka, ale za to mam zróżnicowane jedzenie.

- Ja nie...

- Ależ owszem, tak. Analizowałeś wszystko, co wędrowało do wózka, i z kimś mnie porównywałeś.

Z Agnethą, omal nie powiedział, ale ugryzł się w język i poczuł z niedowierzaniem, że oblewa się pąsem. O Boże, ja się czerwienię.

- Tak właśnie myślałam - mruknęła Candace.

Była urażona. Nie miał prawa urządzać jej takiego egzaminu. Oceniać, wyciągać wnioski. Kiedy pierwsza złość minęła, musiała jednak przyznać, że sama nie robi nic innego. Cały czas obserwuje go z perspektywy wyimaginowanego romansu, który nie może wyjść jej z głowy.

Na razie wydawał się doskonałym kandydatem do romantycznej przygody, jeśli rozważyć rzecz w tak chłodnych kategoriach. Przygody lekkiej, miłej, przyjemnej. Poza tym zawsze łatwiej porozumieć się z kimś, z kim łączy człowieka ten sam zawód.

Tak, idealny kandydat do przygody.

Czy to miała mama na myśli, kiedy namawiała ją na wyjazd? Ze spotkam kogoś, przeżyję coś niezwykłego i wrócę do domu odnowiona jak po trzymiesięcznym pobycie w kurorcie u wód? Przeboleję zdradę Todda, ciężę Brittany? Dobry Boże, „przeboleć”. Zapomnieć, pozbyć się urazy, żalu...?

Myśl przyprawiająca o lęk i pociągająca.

- Jesteś pewien, że nie masz już dzisiaj żadnych obowiązków? - zapytała. - Zajmuję ci tyle czasu.

- Nie martw się, żadnych obowiązków. Zawieziemy zakupy do ciebie, zjemy coś i pojedziemy po samochód.

- Sandwicze? Teraz będzie z czego je zrobić.

- Świetnie.

Do dealera dotarli o drugiej, po lunchu tak zwykłym i domowym, jakby Candace jadła go z Maddy. Sprzedawca

zwracał się cały czas wyłącznie do Steve'a, choć było zupełnie oczywiste, że to Candace jest potencjalnym nabywcą.

- Myślisz, że wpadł na to, dlaczego nie dobił targu? - zapytał Steve, kiedy wyszli.

Candace parsknęła śmiechem.

- Jakoś to zniosłam. Mówił do ciebie, ja tymczasem miałam czas zastanowić się, czy rzeczywiście mam ochotę na ten samochód.

- Rozumiem, że nie. Machnęła lekceważąco ręką.

- Chyba nie. Zajrzyjmy gdzie indziej.

Po jeszcze kilku próbach zdecydowała się wreszcie na niewielki europejski wóz z bardzo małym przebiegiem i poczuła lekki zawrót głowy, że tak szybko rozstała się z tak dużą sumą pieniędzy. Nie było jednak sensu zwlekać z zakupem. Ma tu zostać tylko rok i powinna jak najszybciej zorganizować sobie egzystencję, by spróbować dojść do ładu z samą sobą.

Czy ten plan ma również dotyczyć przelotnej przygody o terapeutycznym działaniu?

- Teraz musisz go zabrać do domu - odezwał się Steve, jakby chciał powiedzieć, że wszystkie działania mają swoje konsekwencje.

- Nie znam drogi.

- I dlatego pojedziesz za mną.

Do domu dotarli późnym popołudniem i Steve zaproponował kolację w pobliskiej chińskiej restauracji.

Miła propozycja.

Potem zrobiło się dość trudno. Bo trudno siedzieć naprzeciwko siebie przy stoliku i unikać kontaktu wzrokowego, co udawało się jeszcze w trakcie lekcji jazdy i zakupów w supermarkecie. Candace wypła kieliszek czerwonego wina i szybko tego pożałowała. Znowu poczuła skutki zmiany czasu, a ciepłe, stłumione oświetlenie tworzyło

intymną atmosferę. Czowała się lekko wstawiona, rozluźniona i aż nazbyt świadoma obecności Steve'a. Marionetka, której sznurki on pociąga. Kiedy chciał, przytakiwała, opierała brodę na dłoni, słuchała jego słów z uwagą, uśmiechała się w oznaczonych momentach.

- Zasypiasz?

- Nie...

- Ale zaraz zaśniesz. Odwiozę cię do domu.

- Nie decyduj za mnie - obruszyła się.

- Tylko dzisiaj. Przyrzekam ci, że od jutra wszystkie decyzje będziesz podejmować sama.

Być może nie zamierzał wygłosić tak intymnej obietnicy, ale Candace i tak zdjęła panika. Nagle odeszła ją senność, podniosła się zza stolika, gwałtownie odsuwając krzesło.

- A żebyś, cholera, wiedział - rzuciła i zobaczyła jego zaskoczoną minę.

- Candace, ja... nie miałem nic na myśli. No dobrze, miałem.

- Wiem, wiem. Jasne, że miałeś.

Odwróciła się, poczuła na ramieniu delikatne muśnięcie palców i już nie miała wątpliwości, jak skończy się wieczór. Przestraszona tą perspektywą nie czekała, aż Steve zapłaci rachunek, tylko wyszła szybko na zewnątrz. Dogonił ją dopiero na parkingu przy jej nowym samochodzie.

Nie skomentował wtedy ani słowem jej ucieczki. Przez następnych kilka dni nie wspominał o burzliwym zakończeniu ich kolacji. Nie próbował jej pocałować, chociaż miał aż nadto sposobności.

Terry i Myrna ciągle byli w Sydney, ale w sobotę Linda i Rob Gardnerowie urządzili u siebie powitalne przyjęcie przy grillu dla Candace, na którym spotkał się cały miejscowy świątek lekarski. Zaczynała poznawać swoich przyszłych kolegów i nawiązywać z nimi pierwsze kontakty.



Jak zapowiadał Terry, Linda okazała się naprawdę miła: pulchna, krótko ostrzyżona, o gardłowym śmiechu, ciętym poczuciu humoru, trzeźwych zapatrywaniach, zadowolona ze swojej pracy, przejęta dziećmi i czuła dla swojego jeszcze mocniej niż ona stąpającego po ziemi męża.

Już oswojona trochę ze zmianą czasu, Candace wyszła od Gardnerów dobrze po dziesiątej. Ledwie zdążyła po powrocie do domu wyjść na taras, zobaczyła przejeżdżający samochód Steve'a. Steve też ją zauważył, zwolnił i pomachał jej. Była prawie pewna, że będzie chciał zajrzeć do niej na chwilę. Podczas przyjęcia długo rozmawiali ze sobą. Mnóstwo śmiechu, przeplatanego chwilami milczenia. Gdyby rzeczywiście miał zajrzeć, zaproponuje mu kawę albo herbatę, skrycie czekając, co wydarzy się dalej.

Nie zajrzał.

Następnego ranka spotkali się na plaży. Candace od lat nie kąpała się w oceanie i z rozkoszą zanurzyła się w fale. Taylor Beach była strzeżona przez ratowników z Lifesaving Association, czuła się więc bezpieczna, pływając na ograniczonym bojami akwencie, ale nie zapuszczała się tak daleko jak surferzy w obcisłych czarnych strojach.

Steve też surfował. Rozpoznała go, dopiero gdy wyszedł na brzeg, niosąc pod pachą jasnokremową deskę. On zobaczył ją, dopiero kiedy odłożył deskę, ściągnął do pasa kostium i zaczął się wycierać z energią psa, który otrzepuje się zawzięcie po wyjściu z wody.

Na widok Candace przerzucił ręcznik przez ramię i podszedł do niej.

- Cześć.
- Nie boisz się spotkania z rekinem?
- Tylko kiedy widzę płetwę.
- Żartujesz sobie, tak?
- Czasami pojawiają się delfiny. Uwielbiają surfować.

- Teraz to już na pewno kpisz.
- Nie. Mają tak zbudowane ciało, że surfowanie przychodzi im bez trudu. Czasami polują w pobliżu na ryby.
- Będę ich wypatrywała, chociaż nie wierzę ci do końca.
- Przekonasz się na własne oczy, jak spędzisz tu trochę czasu. Mają inną płetwę, inaczej się poruszają w wodzie, ale ten ułamek sekundy, zanim rozpoznasz, czy masz do czynienia z rekinem czy z delfinem wystarczy, żeby włosy, choć mokre, stanęły ci na głowie - mówił Steve ze śmiechem.
- Kilka razy przekonałem się sam, jakie to uczucie.

Ciągle był lekko zadyszany. Zmierzwione włosy ociekały wodą. Rozpięty głęboko kostium odsłaniał płaski brzuch, a opalenizna mówiła, że Steve nie zawsze surfuje w kostiumie.

Mój Boże, jaki on wspaniały! I taki facet chciałby wdawać się ze mną w przygody? Równie dobrze mógłby, jak teraz, flirtować z moją babcią. Co ja mówię, on nawet nie flirtuje. To tylko luźna rozmowa dwojga znajomych. Zgotował mi miłe powitanie, Terry zrobiłby to samo, a ja... Wyobraziłam sobie nie wiedzieć co. Kompletne nieporozumienie.

Obok przeszła dziewczyna w skąpym pomarańczowym bikini, o włosach jasnych jak naturalny jedwab i pięknie opalanej skórze. Przez chwilę Candace miała ochotę chwycić dziewczynę za rękę i postawić ją naprzeciwko Steve'a. Proszę bardzo. Z nią rozmawiaj, a ja bardzo przepraszam, że ośmieliłam się naruszyć twoją prywatną przestrzeń, dopuszczając bodaj myśl o...

- Masz ochotę wejść do wody? - Nie zwrócił uwagi na pomarańczowe bikini i odziane w nie ciało.

- Z rozkoszą. - O cholera! - Tak, bardzo chętnie. - Spróbowała jeszcze raz, szukając brzmących bardziej naturalnie słów. - Nie czuję się zbyt pewnie w wodzie, ale miło będzie wypłynąć na głębokość, na której każda kolejna fala nie rzuca we mnie wiadrem piasku.

Steve zaśmiał się.

- Chodźmy. - Rozpiął kostium do końca, odwrócił się i ściągnął go. Widziała teraz zagłębienie tuż nad spodenkami kąpielowymi, w miejscu gdzie kończy się kręgosłup, opalone i pokryte jasnymi włoskami. Po chwili wyprostował się i podciągnął trochę zsunięte kąpielówki.

Po godzinie pływania wróciła do domu na lunch, a Steve wybrał się znowu surfować. Kiedy po południu wyszła na spacer po plaży, już go nie mogła wypatrzeć. W drodze powrotnej przechodziła koło jego domu. Samochód stał co prawda na podjeździe, na trawniku kręcił się zraszacz, ale samego Steve'a ani śladu.

Jest po prostu dla niej miły. To wszystko. Powinna to docenić i przestać fantazjować.

Zobaczyła go dopiero we wtorek, podczas swojego pierwszego dyżuru, na którym operowała trzech pacjentów. Steve odpowiadał za narkozę.

Poprzedniego dnia rozmawiała z całą trójką, sprawdziła dołączone do skierowań wyniki z przychodni i stwierdziła, że wszystko jest w porządku: EKG, ciśnienie, zdjęcia klatki piersiowej. Zresztą przypadki były nieskomplikowane: woreczek żółciowy u pięćdziesięcioletniej kobiety i dwie przepukliny. Pacjenci po zabiegach i odleżeniu kilku godzin na „politycznych łózkach”, o których tak cynicznie wyrażał się Terry, mogli wrócić do domu.

W sali operacyjnej Candace miała zawsze niezachwiane poczucie całkowitego panowania nad sytuacją. Lubiła tu być, w doskonale zorganizowanym świecie, gdzie wszystko musi być skupione na jednym zadaniu. Jest pacjent i jest sześć osób, z których każda doskonale wie, co w danej chwili powinna robić.

Umywalki były inne niż te, do których przywykła. Staroświeckie, porcelanowe, z kranami otwieranymi

naciśnięciem dźwigienki zamiast pedału, jak w szpitalach, w których pracowała. Sala operacyjna miała winylowe zmywalne ściany i dobrze jej znane, twarde antystatyczne podłogi. Po kilku godzinach stania na takiej podłodze człowiek nie czuł zwykle nóg i pleców.

Candace jako ostatnia odkaziła ręce. Wszystko było już przygotowane i czekano tylko na nią. Przywitała się z pacjentką i resztą zespołu. Pani Allenby wyglądała na trochę zdenerwowaną, co oczywiste. Candace przez wiele lat musiała walczyć z odruchem, by dłonią w chirurgicznej rękawiczce nie poklepać pacjenta dla dodania mu otuchy.

Z odtwarzacza stojącego na półce płynęła uspokajająca muzyka. Beethoven, rozpoznała po chwili, jakby nazwisko kompozytora miało jakieś znaczenie.

- Mogę prosić o wyłączenie tego?

Siostra asystująca z identyfikatorem ukrytym pod zielonym chirurgicznym kitem szybko podeszła do półki i dźwięki sonaty umilkły.

- Czy puścić coś innego, doktor Fletcher? - zapytała siostra, Pat, jak się później okazało.

- Nie. Nie mogę operować przy muzyce - oznajmiła Candace tak uprzejmie jak to możliwe.

Zauważyła jedno czy dwa zdziwione spojrzenia, ale nie próbowała się tłumaczyć. Ona tu jest panią sytuacji. Każdy chirurg ma małe dziwactwa, dlaczego ona miałaby przeproszać za swoje? Nigdy nie klęła, nie ciskała narzędziami, nie krzyczała na pielęgniarki, nie gimnastykowała dłoni, nie złościła się, że katgut jest za krótki albo za długi, precyzyjnie określała, jakiego instrumentu w danej chwili potrzebuje. Ale lubiła pracować w ciszy. Cisza pomagała się jej skoncentrować. Żadnej muzyki. Pogawędek nad stołem. Żadnych żartów i wzajemnych docinków. I

absolutnie żadnych uwłaczających komentarzy na temat pacjenta.

- U mnie wszystko gotowe - oznajmił Steve w chwilę później.

- Dziękuję, doktorze Colton.

Podniosła głowę, Steve oderwał wzrok od aparatury monitorującej i ich spojrzenia na moment się spotkały. Widziała, że ciągle jest zaintrygowany tym „proszę to wyłączyć”. Może to on wybrał Beethovena. Trudno, niech słucha „Appassionaty” w domu.

- Przygotować gaz i zaczynamy. - Setki razy wypowiadała te słowa.

Do brzucha pacjentki wprowadzono kilka litrów dwutlenku węgla, rozdzielając tkankę zewnętrzną i organy wewnętrzne i stwarzając pole operacyjne. Przez niewielkie nacięcie drugi chirurg, Peter Moody, wprowadził laparoskop z małą kamerą na końcu. Siedząc obraz na monitorze, Candace mogła sprawnie operować narzędziami.

To, co zobaczyła, wskazywało, że trzeba jeszcze wykonać cholangiogram, który wykaże lub wykluczy obecność kamieni żółciowych. Tak, były trzy nieduże i zdecydowała się je usunąć, by nie narażać pani Allenby na kolejną operację.

Monitory wskazywały, że pacjentka dobrze znosi narkozę i Candace bez trudu usunęła kamienie.

- O ile znam panią Allenby, będzie je chciała zobaczyć - oznajmił Steve.

- To pańska pacjentka, doktorze? - zapytała Candace.

- Od samego początku, kiedy zacząłem tu praktykę cztery lata temu. Ma bardzo dociekliwy umysł. Prawda, pani A.? - Pani A. oczywiście nie odpowiedziała. Świadomość pacjenta pod narkozą jest wyłączona, ale wiele wskazuje na to, że wielu z nich zachowuje podświadomą pamięć tego, co się

działo w czasie operacji. - W zeszłym tygodniu dopytywała się...

- Może później? - przerwała gadule Candace. Steve skinął głową i wzruszył ramionami. Wokół stołu zapadło pełne zdziwienia milczenie, ale Candace nic sobie z tego nie robiła. Przypaliła kauterem naczynie krwionośne, zamknęła przewód żółciowy u nasady woreczka i teraz drenem mogła opróżnić zawartość samego woreczka. Pusty woreczek przez małe nacięcie z łatwością wrócił na swoje miejsce. Sprawdziła jeszcze pole operacyjne, czy nie ma krwawienia. Wszystko wyglądało czysto i z brzucha pacjentki usunięto gaz, opatrzone nacięcia. Operacja dobiegła końca.

Łatwo powiedzieć, cała rzecz trwała jednak dwie godziny, a teraz jeszcze należało przeliczyć narzędzia, sączi, gaziki, by upewnić się, że niczego nie brakuje, wrzucić do kosza prześcieradła i sprzątnąć salę.

Nieprzytomna jeszcze pani Allenby została wywieziona do aneksu, gdzie miały czuwać przy niej dwie pielęgniarki kontrolujące oddech, ciśnienie krwi i pracę serca.

Dwie operacje przepukliny były już znacznie krótsze i prostsze i Candace wkrótce była wolna.

Kiedy zdejmowała rękawiczki i maskę, lunął rześisty deszcz. W sali trwały przygotowania do cesarskiego cięcia, pojawiła się Linda Gardner.

- Cicho tu dzisiaj - zdziwiła się.

- Czekali, że będę operować w takt rock and rolla - westchnęła Candace.

- To się im ciężko naraziłaś. Lubisz pełną rewerencji ciszę?

- Ciszę - zripostowała Candace. - Bez rewerencji.

- Nie miałaś z nikim kłopotów? - Linda uśmiechnęła się pytająco.

- W sali operacyjnej nie daję nikomu szansy. - Ostre stwierdzenie złagodziła uśmiechem i poszła wziąć prysznic.

Dwadzieścia minut później wyszła z łazienki w bluzce, spódnicy i białym fartuchu, by stwierdzić, że w sali numer dwa już na nią czekają z następną operacją.

- Wszystkie objawy ostrego wyrostka - wyjaśniła siostra Lynn Baxter.

- Dajcie mi pięć minut - poprosiła Candace.

- I wyłączyć muzykę?

- Wiadomości szybko się rozchodzą. Owszem, proszę. Dziękuję.

Lakoniczna jak zwykle. Żadnych tłumaczeń, że dyżur okazał się wyczerpujący, zwierzeń, że długa podróż powrotna do domu znacznie się wydłuży, co właśnie odkryła. Przestrzegała rygorystycznie jednej zasady: nigdy nie opowiadać pacjentom ani personelowi, jak się czuje.

Żadnych skarg, żadnych wyjaśnień. Ból w plecach, obolałe stopy, to były jej prywatne problemy. Podobnie głód, pragnienie i ćmiący ból głowy.

Jeśli chodzi o Todda, aż do rozwodu nikt o niczym nie wiedział. Dopiero kiedy ostatnie podpisy zostały złożone, majątek podzielony, wszystko ostatecznie zakończone, w pewien piątek, w przebieralni chirurgów, po ostatniej operacji poinformowała kolegów o rozstaniu z mężem, prosząc, by przekazali informację innym. Byli zdumieni, ale znali jej styl, jej profesjonalny sposób bycia, dbałość o ścisły rozdział spraw osobistych i zawodowych. Wybrała piątek, by dać im trzy dni czasu na oswojenie się z wiadomością.

Sala numer dwa była dokładną kopią sali numer jeden. Pacjentka, trzydziestopięcioletnia, wcześniej nie chorująca Andrea Johnson, była lekko oszołomiona i odprężona po wstępnej narkozie. Objawy, które u niej stwierdzono, nie musiały koniecznie wskazywać na wyrostek, bo ten często

lubi mylić lekarza w czasie badania. Candace pamiętała o tym, otwierając powłoki brzuszne. Czasami można nic nie znaleźć, nawet, gdy poziom białych ciałek wskazuje na ostry stan zapalny.

- Boże drogi! - szepnęła.

Zobaczyła to, zanim ktokolwiek inny spostrzegł. Wokół wyrostka był guz, prosty zabieg ekstrakcji zamieniał się w skomplikowaną operację.

- Ogromny - mruknął drugi chirurg, Mark Daley.

- Ale niekoniecznie złośliwy - rzekła Candace. - Wyślemy tkanekę natychmiast do badania i sprawdzimy, czy nie widać jakichś widocznych przerzutów.

Usunęła wyrostek i guz, po czym sprawdziła inne, najbardziej podatne na przerzuty organy, ale nie znalazła nic, co mogłoby budzić podejrzenia.

- Możemy mieć nadzieję, że to nic groźnego - stwierdziła z ulgą.

Z sali wyszła dobrze po trzeciej, zmęczona i potwornie głodna. Wzięła kolejny szybki prysznic, w automacie kupiła paczkę chipsów, wypiła kawę i poszła sprawdzić, jak się czują jej pacjenci. Pani Allenby w jakiś czas po wybudzeniu z narkozy poprosiła o sandwicza, sok i herbatę, po czym przeszła się kilka razy po korytarzu. Jej brzuch nie budził zastrzeżeń, kasłała mocno i zdrowo.

- Boli mnie ramię - poskarżyła się.

- To zupełnie normalny objaw. Po operacji pojawiają się bóle towarzyszące i to wszystko, co powinna pani na ten temat wiedzieć. Za kilka godzin powinien minąć bez śladu. Operacja przebiegła bardzo dobrze, nie spodziewam się problemów. Za tydzień zgłosi się pani do doktora Coltona na kontrolę.

- Umówię się na wizytę.

- Może pani wracać do domu. Ktoś po panią przyjedzie?

- Mąż już czeka.



- Świetnie. Życzę wszystkiego dobrego. Wie pani, że była moją pierwszą pacjentką w Australii?

- To miłe!

Pani Allenby poszła się przebrać, a Candace zajrzała do dwóch pacjentów po operacji przepukliny. Czuli się dobrze, ale byli jeszcze zbyt oszołomieni, by wyjść.

- Mogłabym dostać moje kamienie? - doszedł Candace głos pani Allenby.

Powściągając uśmiech, przeszła do aneksu pooperacyjnego, gdzie leżała Andrea Johnson. Właśnie obudziła się z narkozy. Na sąsiednim łóżku leżała pacjentka po cesarskim cięciu.

- Boli - tylko tyle mogła powiedzieć. - Okropnie.

Candace zaordynowała dodatkowe środki znieczulające, po czym przestrzegła szeptem siostrę z aneksu pooperacyjnego:

- Nie może jeszcze usłyszeć, co u niej znaleźliśmy.

- Poczekać, aż ją przeniesiemy do normalnej sali? - upewniła się Robyn Wallace.

- Zdecydowanie. To może poczekać do jutra. Przyjadę do szpitala i porozmawiam z nią. Poza tym musimy poczekać na wyniki z patologii. Ona ma tu jakąś rodzinę?

- Nie, to chyba samotna dziewczyna. Pewnie przyjezdna.

- Musi być ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać. Niech pani spróbuje odnaleźć jej krewnych.

- Teraz się z nią nie porozumiem. Jest nieprzytomna z bólu.

- Właśnie wtedy ludzie chcieliby mieć przy sobie kogoś bliskiego.

- To prawda - przytaknęła siostra Wallace.

- Co my tu mamy? Dwie w cenie jednej - rozległ się głos Steve'a, który jako anestezjolog miał obowiązek sprawdzać stan swoich pacjentów przez pierwsze dwadzieścia cztery

godziny po operacji, w tym wypadku dwóch mężczyzn po operacji przepukliny i położnicy po cesarskim cięciu.

Candace, nie zrozumiałszy jego uwagi, uznała, że to jakiś australijski żart, ale siostra Wallace też miała głupią minę.

- Obie to moje pacjentki - wyjaśnił. - Siostry. Cała chmara Johnsonów i Calvertów czeka już na piętrze, żeby zobaczyć Karinę i niemowlę. Powinienem chyba panią ostrzec - zwrócił się do siostry Wallace, zniżając głos. - Iskry polecą, jeśli te dziewczyny zobaczą, że leżą w jednej sali. Andrea i Karina nie utrzymują kontaktów. Andrea zerwała z rodziną.

- Postawię parawan między łózkami - obiecała siostra Wallace.

- Mówiąc o kontaktach - rzuciła Candace lekko - to ja wychodzę. Bardzo interesujący dzień, ale padam z nóg.

Powinna była wiedzieć, że nie wyjdzie tak łatwo. Steve dogonił ją koło samochodu.

- Jedziesz prosto do domu?

- Tak. Dzięki istnieniu mrożonych dań nie muszę nigdzie wstępować.

- Mrożone dania! - prychnął. - Co byś powiedziała na świeży stek?

- Jestem za głodna, żeby czekać na stek.

- Wrzucę mięso na grill zaraz po powrocie do domu. Przyjdź do mnie za kwadrans i urządzimy sobie późny lunch.

- Nie musisz.

- Wiem. Gdybym musiał, pewnie już bym się wściekł. Terry powiedział: opiekuj się nią do poniedziałku.

- Tak powiedział? - zapytała o ton za ostro. Zawsze po operacjach musiał minąć jakiś czas, zanim się rozluźniła. Steve pomyśli, że jest opryskliwą jędzą. Z doświadczenia wiedziała, że jeszcze gorzej udawać beztroski nastrój.

- Tak powiedział - powtórzył spokojnie. - Dzisiaj mamy wtorek. To już przyjemność, nie obowiązek, a ja jestem tak

przenikliwym lekarzem, że widzę na pierwszy rzut oka, jaki masz niski poziom żelaza we krwi.

Zaśmiała się nieoczekiwanie dla samej siebie.

- Pewnie masz rację.

- Potrzebny ci stek i kąpiel w morzu.

- Co do tego ostatniego, nie będę się kłócić.

- Ja też nie. Ale najpierw zjesz stek.

- Dobrze...

- A potem usiadziemy na plaży i powiesz mi, dlaczego zgadzasz się z takim wahaniem.

To była pogrożka. Candace nie miała co do tego wątpliwości. Wprawiająca w panikę i przyprawiająca o lekki zawrót głowy. Po drodze do domu trzy razy zatrzymywała samochód.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Leżeli na ręcznikach, wygrzewali się w popołudniowym słońcu i trawili to, co Steve określił nietrafnym mianem późnego lunchu. Stek z grilla, upieczone w kuchence mikrofalowej ziemniaki w mundurkach, sałata za kwadrans piąta po południu? Pyszne, ale trudno to nazwać lunchem. Doktor Colton przyrządzał bardzo dobre steki.

Miał mnie o coś zapytać, ale już zapomniałam, o co chodziło. Była zbyt zajęta myśleniem o sygnałach. Tak, o tych sygnałach, które mężczyźni wysyłają kobietom.

I które kobiety wysyłają - mężczyznom. Jak to było dawno...

Jakie to dawne czasy, kiedy musiałam decydować, czy wyobrażam sobie coś czy nie. Czy tego chcę, czy mężczyzna naprawdę chciał mi coś przekazać? Kiedyś potrafiłam odpowiedzieć sobie na te wszystkie pytania...

Bardzo dawno temu.

Już za czasów Todda sygnały, które zwykle miały znaczyć: jeśli nie jesteś związana, byłbym zainteresowany, po prostu zbywała. Nigdy nie miała potrzeby sprawdzać ich prawdziwego znaczenia, własnej umiejętności ich odczytywania. Miała Todda, swoje małżeństwo i tylko to się liczyło.

Teraz było inaczej. Jakaś część duszy tęskniła za uzdrawiającą przygodą, ale odzywała się i inna część, cyniczna, sceptyczna i przepełniona najzwyklejszym strachem. A jeśli się mylę... A jeśli mam rację i nic z tego nie będzie... Albo powiem sobie: tak, mam rację, rzucę mu się w ramiona, a on mnie wyśmieje. Albo poinformuje mnie bardzo grzecznie, przepraszam, jestem żonaty. Nie wiedziałaś? Moja żona pojechała odwiedzić rodziców w Woggabiggaboliga, czy jakoś tak. O ile zdążyła się już rozeznac, nazwy miast australijskich miały zwykle podobne końcówki.

Tu omal nie parsknęła histerycznym śmiechem. Zaczynam chyba tracić rozum? Może właśnie zdrada i rozwód tak się odbijają na człowieku?

- W sali operacyjnej jesteś zupełnie inna, prawda? - odezwał się nagle Steve, usiadł po turecku na ręczniku i oparł łokcie na kolanach.

Candace też natychmiast usiadła.

- Widać wystarczająco inna, żeby zapracować na to pytanie.

- Ja nie...

- W porządku, mów.

- Chyba myślałem, że będziesz taką „kochaną panią doktor”.

- A jaka jestem?

- Mam wrażenie, że naprawdę wiesz, co robisz i czego wymagasz.

- Wiem. Kiedy ja już operowałam, ty jeszcze kroiliś żaby, Steve. - Zdenerwowały ją te nagłe pytania.

- Nie rób tego.

- Czego nie robić?

- Nie graj autorytetem.

- Dlaczego? - odparowała. - Jestem przynajmniej pięć lat od ciebie starsza.

- Chyba sześć.

- Sprawdzałeś?

- Terry mówił, że masz trzydzieści dziewięć.

- Terry się pomylił! Mam trzydzieści osiem. Dopiero w lipcu skończę trzydzieści dziewięć.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem, rozbawieni jej gwałtownymi protestami.

- Możemy zacząć od początku? - zagadnął.

- Co?

- Nie udawaj. Tę rozmowę. Nie zamierzałem się z tobą sprzeczać. Chciałem tylko powiedzieć, że w sali operacyjnej byłaś... - zawahał się.

- Chodzi ci o muzykę?

- Tak, to było wielkie. Podobało mi się twoje zachowanie. Podobałaś mi się w sali operacyjnej. Podobała mi się twoja koncentracja i ta absolutna pewność, że ty dyktujesz klimat pracy. I robisz to uprzejmie. Spokojnie.

- Jestem dobrze wychowana.

- Tak dobrze, że normalnie przepraszasz, jeśli ktoś nadepnie ci na odcisk?

Zaśmiała się z błyskotliwej trafności tej obserwacji.

- W życiu prywatnym, owszem. W sali operacyjnej, doktorze Colton, to ty masz mnie przepraszać.

W oczach Steve'a pojawiły się wesołe iskierki.

- Ojej, to mi się podoba. Dobrze, naprawdę dobre - powtórzył. Po chwili wstał i pociągnął Candace za rękę. - Masz ochotę?

- Popływać? Jasne.

Tego dnia przybój był wyjątkowo silny.

- Tak zwane „wywrotki” - powiedział Steve. - Uważaj. Naprawdę mogą zakotłować człowiekiem.

Nie spuszczał jej z oka, kiedy pływali. Kilka razy ostrzegał przed groźną falą. Candace sama czuła różnicę. Dzisiaj surf nie zwijał się płynnie, by na moment znieruchomieć i rozlać miękko na piasku, ale przełamywał gwałtownie i rozbijał z hukiem o brzeg. Jeśli nie wyczuło się właściwego momentu, wynurzałeś się zdezorientowany i poturbowany.

- Gdzie dzisiaj flagi?

- W dni powszednie plaża jest niestrzeżona. Jeśli chcesz, możemy kończyć.

- Nie, dobrze mi się pływa. - I rzeczywiście, przy Stevie czuła się bezpieczna.

- Skacz! - zawołał i obojgu udało się utrzymać głowy ponad spienionym grzebieniem.

Pływali jeszcze chwilę, dopóki Candace nie przewróciła kolejna fala.

- Kończymy - zdecydował Steve i tym razem już nie protestowała.

Wytarli się do sucha, ubrali i ruszyli na spacer brzegiem oceanu, aż do południowego krańca plaży, gdzie na cyplu skalnym przyplływ tworzył oczka wodne. Późne słońce kładło złote odbłaski na oceanie, a wkrótce potem rozmalowało na zachodzie całą paletę barw. Od łagodnych różów przez ognistopomarańczowe po agresywne szkarłaty chmur burzowych zamykających spektakl mrocznymi akordami. Pora wracać.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponował. - Możesz mnie zaprosić, jeśli masz ochotę - oznajmił, gdy dotarli na miejsce.

- Znowu jesteś głodny? - zażartowała.

- Możemy wypić drinka na twoim tarasie.

- Masz bardzo dobry własny taras, doktorze Colton. Nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią wyczekująco, z lekkim uśmiechem w kącikach ust. Obydwoje wiedzieli doskonale, co myśli to drugie. Candace westchnęła.

- Wino, piwo, kawa, herbata, sok?

- Mrożona woda?

Kiedy usiedli na tarasie, zauważył, że Candace drapie się po głowie.

- Piasek?

- Tak. Próbuję go wysypać, ale wlatuje mi za kostium.

Brr.

- Możemy temu jakoś zaradzić. - Zniknął we wnętrzu domu i po chwili wrócił z jej szczotką do włosów. - Musiałaś się spieszyć dziś rano?

- Rzeczywiście. Zostawiłam ją na stole.

- Zauważyłem. Wstań i nachyl się.

- Oj...

- Zrób, o co proszę. - Z głosu Steve'a zniknęła nuta żartobliwej kpiny, pojawił się jakiś nowy ton. - Naprawdę proszę.

Skinęła głową, nachyliła się i oparła dłonie na kolanach. Czas zwolnił bieg. Steve zaczął szczotkować jej włosy. Rytmicznie, powoli, ostrożnie. Bez słowa.

- A teraz usiądź i odchyl głowę do tyłu - usłyszała w końcu. Zamknęła oczy, odchyliła głowę. - Mógłbym to robić bez końca. - Kilka kolejnych rytmicznych ruchów, po czym szczotka stuknęła o szklany blat stolika i Steve przyklęknął koło Candace. - Masz cudowne włosy i cudownie delikatną skórę.

Dotknął wargami jej szyi, brody, wreszcie przyciągnął ją delikatnie do siebie i podniósł z krzesła.

- Steve - szepnęła. - Steve.

- Smakujesz morzem.

- A ty... jak solone orzeszki albo coś takiego - mówiła niezbornie.

Położył dłonie na jej ramionach, zamknął usta pocałunkiem i zaczął powoli zdejmować z niej kostium kąpielowy i pieścić piersi. Gdzieś w pobliżu przemknął samochód. Gdzieś w zakamarkach świadomości Candace pojawiła się myśl, że ktoś ich mógł widzieć. Może nadal widzi dwie splecione w uścisku postacie.

- Chodźmy do środka - poprosił. - To, co będziemy robić, nie jest przeznaczone dla niczyich oczu. Chodź już, proszę.



Byli obydwój tak spragnieni siebie, tak niecierpliwi, że trudno powiedzieć, jak udało im się dotrzeć do łóżka.

Steve przyszedł przygotowany. Przyszedł przygotowany! Nie oburzyło jej to. Gdyby była mężczyzną, też pomyślałaby o zabezpieczeniu. Ba, gdyby była kobietą mającą trochę zaufania do własnych przeczuc, sama powinna się o nie postarać.

Kochali się jeszcze potem dwa razy tej nocy. Candace była zaskoczona, jak szybko poczucie absolutnego zaspokojenia może przeradzać się w nową falę pożądania. Po drugim razie zjedli kolację w łóżku. Zimne mleko i ten sernik, którego zakup wzbudził takie wątpliwości Steve'a. Potem siedzieli wtuleni w siebie na ławce na tarasie i długo rozmawiali o głupstwach niewartych wspomnienia i odnotowania.

Po północy, po miłosnych wyczynach, trudno prowadzić rozmowy zasadnicze o istocie bytu.

Ł było przyjemnie. Po prostu przyjemnie. Ona w prostym sarongu, on w samych dżinsach. Kiedy zrobiło się zbyt chłodno, uciekli do środka, wzięli wspólny prysznic, który dał im powód do chichotów, a potem spali do rana.

Rano.

W nocy chmury się rozproszyły i wstał słoneczny dzień. Candace ciągle nie mogła się przyzwycząić, jak mocne w tym kraju potrafi być poranne światło. Zachwycające, myślała, budząc się codziennie. Dzisiaj wydawało się niemal okrutne, z taką jasnością wydobywając wszystko z mroku.

Steve jeszcze spał, ufnie niczym dziecko. I jak dziecko doskonały. Ciało bez najmniejszej skazy.

Candace uciekła do łazienki, wzięła prysznic i stanęła przed lustrem, mierząc swoje odbicie bezlitosnym wzrokiem. Zmierzwna burza włosów. Zmarszczki wokół ust. Piersi za duże i za ciężkie, zbyt kobiece. Podobnie biodra i uda.

- O Jezusie, muszę schudnąć - mruknęła i zaczęła się śmiać. Może kilka kilogramów. Z czego robić problem.

Problemem było to, że jej ciało liczyło sobie trzydzieści osiem lat, a nie dwadzieścia pięć, i ostre australijskie światło nigdy nie pozwoli jej o tym zapomnieć.

Rozległo się pukanie do drzwi łazienki, lekkie jak uderzenie garści żwiru.

- Steve? - Odruchowo zasłoniła piersi.

A któż by inny? I jakby istniał powód, by zasłaniać przed nim mały fragment nagiego ciała.

- Mogę wejść?

- Uhm... tak. - Uciekła do kabiny prysznicowej,

- Cześć. - Na nic się zdało ukrywanie, bo Steve otworzył szklane drzwi, które i tak nic nie mogły ukryć. - Cudowne...

To miała być kpina czy zachwyty? Tak czy inaczej spaśowała, jednocześnie szczęśliwa i poirytowana.

- Muszę zaraz lecieć. Mam dzisiaj dyżur na nagłych wypadkach. Już mnie wzywali przez pager. Nici z amerykańskiego śniadania.

- A proponowałam ci amerykańskie śniadanie?

- Miałem nadzieję, że zaproponujesz - mruknął. - Zobaczymy się wieczorem, dobrze?

Przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować na do widzenia.

- Nie!

Gwałtowność tego sprzeciwu zaskoczyła oboje. Candace zakręciła krany, chociaż jeszcze nie zdążyła wziąć prysznic. Wyszła z kabiny, chwyciła ręcznik, owinęła się nim i wymaszerowała z łazienki. Steve ruszył za nią.

- Ostatniej nocy było wspaniale, prawda?

- Tak, tak. Było.

- Więc o co chodzi? Ejże, Candace... - Ostatnie słowa wypowiedział ciepło, pieszczotliwie.

- Za dużo zakładasz, o wiele za dużo. Ja nie jestem... musimy się zastanowić. Jeśli między nami coś się rzeczywiście dzieje, to jest to tylko przygoda, dobrze? I ja nie chcę...

- Może powinienem pocałować cię jeszcze raz, nie wiem. Wczoraj to zadziało bardzo dobrze.

- Zadziało? Mówisz o technice? Strategii zaciągnięcia mnie do...

- Nie!

Teraz przyszła kolej na jego poryw gniewu. Chwyił ją za ramiona i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Nie, Candee - powiedział już ciszej.

- Nie znoszę tego.

- Zdrobnienia Candy?

- Tak.

- Niekiedy ja je tak wymawiam. Candee. Brzmi słodko. Nie słyszysz? Dla mnie jesteś słodką Candee. Pozwól się pocałować...

Odwróciła głowę, zacisnęła usta, ale Steve nadal trzymał ją mocno za ramiona, jakby czekał, że się do niego przytuli.

- Powiedz, że to nie była jedna z najlepszych nocy w twoim życiu - ciągnął. - Powiedz, że nie było rac, fajerwerków, że to nie była jedna potężna symfonia.

- Owszem, i niedobrze, że była. Ja nie robię takich rzeczy. Nie wskakuję do łóżka z ludźmi... mężczyznami... młodszymi mężczyznami, kiedy znam ich zaledwie tydzień.

- Krócej - sprostował.

- Krócej.

- To może pora zacząć. Nie ze wszystkimi młodszymi, ale ze mną jak najbardziej.

- Ale dlaczego?

- Bo było nam dobrze - powiedział po prostu i przesunął leniwie palcem po jej szyi. - Myślałem, że tak będzie, i było. Muszę już iść.

- Uhm.

- Pomyśl o tym, dobrze? Myślała. Cały dzień.

Myślała, przyjmując pacjentów Terry'ego, który nadal był w Sydney przy żonie. Myrna poprzedniego dnia miała operację usunięcia guza; na szczęście skończyło się na lumpektomii, bez konieczności amputacji piersi. Myślała, jadąc na południe krętą drogą pośród lasów eukaliptusowych do Harpoon Bay. W piątek miała tu operować, chciała wcześniej poznać szpital, personel, przejrzeć karty pacjentów. Myślała w drodze powrotnej do Narralee.

Kiedy Steve zadzwonił o szóstej, mogła już powiedzieć:

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

- Widzisz, byłam mężatką przez siedemnaście lat, nie mam wprawy w takich sprawach i... - zacukowała się.

- Więc mogę cię zobaczyć? - zapytał, jakby tylko to jedno się liczyło.

Wzięła głęboki oddech.

- Tak, pod dwoma warunkami: żadnych oczekiwań, i sprawa ma pozostać między nami.

Nie chciała, by ktokolwiek ją oceniał, osądzał.

- Chciałem powiedzieć to samo. Ale sam pomysł jest dobry, prawda, Candace?

- Nie żebym szczególnie...

- Nie analizujmy tego. Jeszcze nie teraz. Przyjdź do mnie, zjemy rybę z frytkami na plaży.

- Będziesz dzisiaj w szpitalu? - usłyszał Steve w słuchawce. Rozpoznał głos swojego brata Matta.

Była siódma rano, wtorek. Od pierwszej upojnej nocy z Candace minął tydzień. W piątek przyszły wyniki badania

histopatologicznego Andrei Johnson i Candace natychmiast zadzwoniła do Steve'a:

- Może ty jej powiesz? To twoja pacjentka. Guz okazał się łagodny. Dziewczyna nie musi się już martwić.

- Wspaniała wiadomość. Powiem jej. Dzięki za telefon.

- Tak, każdy telefon do ciebie to dla mnie prawdziwa przykrość.

- Dlatego właśnie telefonujemy do siebie przynajmniej dwa razy dziennie.

Spodziewał się, że to dzwoni Candace. Teraz był trochę rozczarowany, że usłyszał po drugiej stronie głos brata. Siódma rano to trochę wczesna pora jak na Matta.

- Tak. Mam dyżur na chirurgii - odparł krótko, jeszcze nie całkiem rozbudzony.

- Spotkalibyśmy się - rzucił Matt i jego zdawkowy ton zabrzmiał tak, jakby go ćwiczył przynajmniej tydzień.

Steve wreszcie się rozbudził, usiadł gwałtownie na łóżku, kołdra zsunęła się na podłogę.

- Ej, Helen urodziła?

- Jeszcze nie, ale już się zaczęło. Przed chwilą przyjechała jej matka, zajmie się starszymi dziećmi.

Matt i Helen mieli sześciolatniego syna i trzyletnie bliźniaczki, ale ciągle im to nie wystarczało.

- Postaram się wpaść do niej, jeśli u mnie nic się nie będzie działo - obiecał Steve.

- U nas będzie się działo aż za dużo - powiedział Matt. - Helen ma skurcze co dwie minuty.

- To już jedźcie. Zajrzę do was.

Strząsnął z siebie resztki snu. Od kilku dni sen nie był jego sposobem spędzania nocy. Candace miała rację. Ostatniej nocy wyszła od niego o pierwszej, mówiąc, że wreszcie musi się wyspać.

Ubrał się, połknął miskę płatków na mleku, machnął ręką na kawę i wyszedł z domu. Candace miała dzisiaj niewiele do zrobienia, potem na jej miejsce wchodziła Linda Gardner z kilkoma zabiegami ginekologicznymi. Czasami zabieg odwoływano, jeśli lekarz, sprawdzając wyniki badań, znajdował przeciwwskazania. Kiedy indziej znowu pacjent się nie stawiał. Steve miał nadzieję, że coś takiego zdarzy się dzisiaj. Był pewien, że Helen urodzi, zanim on skończy asystować przy zabiegach. Ją bardzo lubił, z bratem był bardzo związany. Spieszno mu było zobaczyć oboje i nowo narodzonego malucha. Najpierw jednak operacje pod wodzą Candace...

Jestem zdenerwowana, myślała, myjąc ręce. Dlaczego zawsze się denerwuję przed operacją? Mamy dzisiaj przecież tylko dwie wazektomie i jedno usuwanie żylaków. Krótkie, proste zabiegi. Skąd więc to zdenerwowanie?

Stąd, że mężczyzna, z którym sypiam, nie, nie sypiam, z którym spędzam szalone, pełne namiętności noce, stoi obok mnie przy stole operacyjnym. Wtedy się denerwuję.

Nigdy dotąd nie przeżywała czegoś takiego. Uprawianie miłości z Toddem, jedynym partnerem seksualnym, jakiego miała, przerodziło się może nie w rutynę, ale w przewidywalny, pozbawiony barwy obyczaj na długo przed tym, zanim zaczął zdradzać ją z Brittany.

Nie mogę przenosić swoich uczuć i odczuć do sali operacyjnej, tutaj potrzebuję skupienia, muszę myśleć przede wszystkim o pacjencie. W okresie największych emocjonalnych zawirowań, kiedy rozwodziła się z Toddem, nie musiała oglądać go przy stole operacyjnym.

Steve już czekał w środku, w kitlu, masce i czepku. Widziała tylko jego oczy, niebieskie, pełne żaru, wszystkowiedzące. Pacjent leżał na stole, coś mówił, żartował.

Jest chyba mniej zdenerwowany ode mnie!

- Cześć - szepnął Steve ciepło, korzystając z tego, że siostra wydawała właśnie jakieś polecenia pacjentowi.

- Pomóż mi - odszepnęła Candace. - Ja...

- Wszystko w porządku.

No tak. Mruknął tych kilka słów, nawet na nią nie patrząc. Ale tych kilka rzuconych cicho słów, dźwięk jego głosu, to wystarczyło, by w mózgu coś zaskoczyło i już mogła sobie powiedzieć: Oczywiście, wszystko w porządku. Wymyślam problemy, przesadzam.

Już była tylko chirurgiem. Instrumenty same układały się w dłoni, każdy ruch był pewny: jednocześnie precyzyjny i płynny. Skończyła wcześniej, niż planowała. Pierwsza pacjentka Lindy nie była jeszcze przygotowana, a i samej Lindy nie było.

- Wspaniale - oznajmił Steve wszem i wobec. - Na porodówce dzieją się dziś rzeczy, które osobiście mnie interesują. Moja bratowa zaczęła rodzić.

Został zasypany pytaniami, ale pokręcił tylko głową.

- Powiem wam wszystko, kiedy wrócę, dobrze? Siostry, Doreen Malvern i Pat Lister, dwie miłe kobiety pod pięćdziesiątkę, zaczęły przygotowywać salę numer jeden do pierwszego zabiegu Lindy, tymczasem Robyn Wallace i Sue Smith zajęły się kobietą, która miała usuwane żylaki. Candace wykonała kilka telefonów, wypełniła papiery. Siostry przywiozły pierwszą pacjentkę Lindy, lekko już oszołomioną po wstępnej narkozie.

- No dobrze, spróbujmy jeszcze raz - westchnęła Doreen.

- Janine, powiesz nam, jak się nazywasz?

- Janine Marie Prowse.

- Kiedy się urodziłaś?

- Osiemnastego kwietnia 1965.

- Jaki zabieg będziesz przechodzić?

- Podwiązanie jajowodów.

Candace usłyszała, jak Pat pyta Nette Robertson, pielęgniarkę asystującą anestezjologowi:

- Gdzie jest doktor Colton?
- Jeszcze nie wrócił, ale Lindy też jeszcze nie ma.
- Za chwilę będzie. - Robyn Wallace odłożyła słuchawkę telefonu. - Mówi, że najdalej za pięć minut.
- Zaczniemy cię przygotowywać, Janine, dobrze?
- Gdzie on poszedł? - zapytał salowy Joe Sheddin.
- Doktor Colton? Na położniczy. Żona jego brata rodzi.
- Tam się niedawno coś stało - wtrącił Joe beztrąsko.
- Owszem, Helen Colton urodziła dziecko - odparowała siostra Wallace.

Zawsze go ofukiwała, ale Candace go lubiła. Swoje błękitne jednorazowe czepki niby piracką chustkę zsuwał nisko na czoło, a pracę wykonywał z niezmaconą pogodą ducha.

Tu wypić herbatę, czy po drugiej stronie ulicy? - zastanawiała się Candace. W gabinecie, który dzieliła z Lindą i który znajdował się w budynku naprzeciwko szpitala, czekało na nią trochę papierkowej roboty, z którą chciała się uporać, zanim zacznie przyjmować pacjentów. Nie, nie ma sensu dłużej tu siedzieć, zdecydowała, idę naprzeciwko. Wieczorem i tak zobaczę się ze Steve'em, opowie mi wszystko.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się. Kiedy wyszła, Linda już była, natomiast Steve ciągle nie wracał, wszyscy zaczynali się denerwować. Wtem ciężkie plastikowe drzwi prowadzące na blok operacyjny otworzyły się z szumem i stanął w nich Steve. Z poszarzałą twarzą, pobielałymi ustami.

- Steve...? - zaczęła Linda.

Pokręcił tylko głową, chwycił świeże ochraniacze, czepkę, maseczkę, wszystko bez słowa. Zadzwoił telefon na biurku w aneksie pooperacyjnym.



- Pani doktor, do pani - zawołała siostra Wallace do Candace.

Dzwoniła recepcjonistka z naprzeciwka.

- Pani Halligan odwołała właśnie wizytę - poinformowała ją Gillian Thompson. - Ale mam tu pacjenta, który pyta, czy pani doktor wyjątkowo nie mogłaby go teraz przyjąć, chociaż nie umawiał wizyty?

Przypadek nowego pacjenta okazał się na tyle poważny, że Candace musiała iść do gabinetu, ale spędziła tam trudne popołudnie. Cały czas miała przed oczami poszarzałą twarz Steve'a i jego milczenie. Skończyła przyjmować o wpół do piątej i pojechała prosto do domu. Zostawiła na sekretarce Steve'a wiadomość:

- Zobaczymy się wieczorem? Widzę, że coś się stało. Oby nie chodziło o dziecko. Steve!

Przygotowała spaghetti bolognese, gdyby miało się okazać, że nic nie jadł, potem jeszcze ugotowała rosół z kurczaka z ryżem, żeby tylko czymś się zająć. Może to głupie. Nie wiedziała nawet, czy lubi rosół z kurczaka. Trudno jej było usiedzieć w miejscu.

Pojawił się dziesięć po szóstej. Serce podskoczyło jej w piersi, kiedy usłyszała jego kroki na drewnianych schodach. Padli sobie w ramiona.

- Co się stało, Steve?

- Dziecko nie żyje.

- Dobry Boże...

- Ono... on... to był chłopczyk. Urodził się pół godziny przed moim przyjściem. Helen nie chciała lekarza i wydawało się, że nie ma takiej potrzeby. Położna świetnie sama dawała sobie radę. Kiedy się urodził... Miał bardzo ciężkiego Downa, niedorozwój serca... nie było szansy. Zastanawiam się... może gdyby specjaliści... superaparatura... ale realistycznie patrząc,

nie. Nic by to nie zmieniło. Żył tylko kilka minut. - Głos mu się załamał. - Biedni Helen i Matt.

Ukrył twarz w jej włosach.

- Muszą być zrozpaczeni - szepnęła.

- Jej matka przywiozła starsze dzieci, akurat kiedy tam byłem. Wróciłem do Helen, ledwie skończyłem zabiegi z Lindą. Myślę, że dobrze... że je przywiozła. Porobili sobie z nim zdjęcia. Długo nie pozwalali siostrom go zabrać. On... wyglądał inaczej, wiesz?

- Wiem.

- Bliźniaczki tego nie zauważyły. Całowały go, coś do niego mówiły. O Boże!

Steve ukrył twarz w dłoniach. Candace przytuliła go, długo rozmawiali. Helen nie robiła badań prenatalnych, dlatego o niczym nie miała pojęcia.

- Helen to trochę taka matka ziemia. Za kilka miesięcy skończy dopiero trzydzieści pięć lat. Nie miała powodów do podejrzeń, przeciwnie. Jest silna. Wspaniała. Otrząsną się.

- Jadłeś coś?.

- Nie. To znaczy śniadanie, jakieś tam, ale...

- Zjesz?

- Chciałem z nimi zostać, ale powiedzieli mi, żebym jechał. Może rzeczywiście Matt i Helen powinni być teraz sami, tylko we dwoje. Dzieci pojechały z matką Helen do domu. Ona jutro wyjdzie ze szpitala. Matt musi wracać do pracy. Jest księgowym...

- Chcesz coś zjeść, Steve?

- Słucham?

- Zjedzmy coś, a potem pójdziemy na spacer. - Nadal był błądy jak płótno, poza tym nie jadł nic od śniadania.

Wreszcie trochę się opanował, westchnął głęboko.

- Tak, dobrze...

- Jest domowy rosół z kurczaka i spaghetti bolognese.

- Sama ugotowałaś?

- Pomyślałam, no wiesz. Wiedziałam, że stało się coś złego. Chciałam... - rozłożyła ręce - ugotowałam ci zupę.

- To miłe. - Steve wreszcie się uśmiechnął. - Zjem trochę zupy.

Po kolacji poszli na spacer. Obydwoje potrzebowali powietrza. Candace nie zamierzała tego wieczoru zostawiać Steve'a samego, chyba żeby ją o to poprosił.

Dobrze było iść bosą nogą w mroku plaży, czuć wodę pod stopami. Niewiele odzywali się do siebie. Dopiero kiedy okrążyli cypel i dotarli do niewielkiej ogrodzonej plaży, Steve zatrzymał się, popatrzył na oświetloną poświatą księżycą połą piasku.

- Wiesz co? Mam ochotę popływać - powiedział zmęczonym głosem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zaczął zdejmować koszulę, zanim Candace zdążyła odpowiedzieć. W nocy ocean napawał ją lękiem.

- Ja też - powiedziała bez zastanowienia. Steve spojrzął na nią z uśmiechem.

- Liczyłem na to. Zrzucił resztę ubrania.

- Nago?

- A po co mamy wracać w mokrych rzeczach? Nie wzięliśmy nawet ręczników.

- Prawda.

- Jest jeszcze kilka innych korzyści, które przychodzą mi do głowy.

Patrzył, jak Candace zdejmuje przez głowę jedwabny top, pozbywa się sarongu, rozpina stanik. Kiedy już ubranie wylądowało na piasku, przez moment poczuła się bezbronna, wydana na spójnienie Steve'a. Tylko przez moment. Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę wody. Tego wieczoru przybój był łagodny jak falująca srebrzysta materia.

Pozwalali mu nieść się do brzegu i znowu odpływali w morze, odpoczywali leżąc na plecach, nurkowali, by po chwili wynurzyć się niczym delfiny. W milczeniu.

Musiało tak minąć jakieś dziesięć minut, aż Steve wziął Candace w ramiona i powiedział:

- Dziękuję. Potrzebowałem cię dzisiaj.

Przygarnął ją do siebie i pocałował. Odpowiedziała na jego pocałunek z tą samą co zawsze gotowością, otoczyła nogami jego biodra, wygięła się do tyłu. Ocean falował wokół nich, jakby chciał przeciwstawić własny chłód żarowi, który rozpalał się w tych dwóch ludzkich ciałach.

- Możemy iść do domu? - mruknął wreszcie Steve.

- Tak daleko? Kilka metrów stąd mamy suchy piasek. Pustą plażę. Znajdziemy sobie miejsce między tymi małymi wydmami.

Była zaszokowana własnymi słowami. Nie sądziła, że potrafi być tak niecierpliwa, szalona, prawie nieobliczalna.

Biegli do wydm, przystając i całując się co chwilę, coraz bardziej siebie spragnieni.

- Nigdy czegoś takiego nie robiłem - powiedział Steve, kiedy zmęczeni miłością leżeli na piasku.

- Nie? - Candace uniosła się na łokciu i spojrzała na niego zdziwiona.

- A ty robiłaś?

- Nie, ale ja to co innego. Dopiero od dziesięciu dni mieszkam nad oceanem.

- Sugerujesz, że traciłem okazje?

- Nie. Cieszę się, że dla ciebie to też pierwszy raz. Bardzo się cieszę. To było...

- Niesamowite, prawda?

- Niesamowite.

- Całkowicie. - Pocałował ją lekko i odsunął się, choć z pewnym ociąganiem. - Dragi raz na piasku to byłaby przesada.

- Uhm, też mi się tak wydaje.

Steve podniósł się i pociągnął ją za rękę.

- Chodźmy po... O cholera!

- Co? - Poszła za jego wzrokiem i zobaczyła kawałek materiału pławiony przez wodę na mokrym piasku.

- O nie! Nasze ubrania!

- Zaczaj się przyływ - przytaknął Steve i obydwójce ruszyli szybko w stronę brzegu. - Widzę, raz, dwa, tylko dwie rzeczy. Psiakrew! Mam nadzieję, że jedna to moje szorty, w kieszeni są klucze. - Rzucił się ku wodzie i chwycił jedną, potem drugą rzecz. - Są klucze. I twoja spódnica.

- Na pewno znajdziemy resztę, jeśli się rozejrzemy. Mój stanik...

- Poczekaj, tam coś jest. - Wskoczył do wody i chwycił pęk wodorostów. - Cholera! Tego nie włożę.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

- Zwariowana historia.
- Szukaj - domagała się Candace.
- Ładnie by ci było w wodorostach.
- Pewnie - przytaknęła z przekąsem,
- Naprawdę. Wyglądałabyś jak syrena. Włosy spływają ci po plecach. Owiąż się sarongiem, będzie niby ogon.
- A gdzie wodorosty?
- Na piersiach, będą...
- Szukaj, Steve!

Przez kilka minut brodzili w wodzie, macali po dnie, przemierzyli tak kilka metrów, wreszcie pogodzili się z myślą, że resztę ich rzeczy zabrał Pacyfik.

- Mogło być znacznie gorzej - powiedział Steve na pocieszenie.

- Mogło - przyznała bez przekonania. - Ty będziesz wyglądał całkiem przyzwoicie. Mężczyznom zawsze jest łatwiej.

- A ty musisz zostać syreną z moich marzeń.
- Nie pójdę do domu w wodorostach!
- Wszystko musisz zepsuć. No dobrze, pomyślmy, co by zrobić.

Wyjął sarong i owiązał go powyżej piersi Candace. Mokra, cienka tkanina przyległa do ciała niczym druga skóra.

- Steve, nie mogę!
- Nie masz wyboru, kochanie.
- Co ja teraz zrobię?
- Zapytaj raczej, co ja zrobię. Obejmę cię ramieniem z tyłu, za kark, potem chwycę cię za dłoń, drugie ramię wędruje tu, o tak, i nawet jeśli spotkamy tłum nocnych ratowników morskich, nikt nic nie zobaczy...

Wielkie nieba, gdyby Todd mógł mnie teraz widzieć, pomyślała, kiedy przez skalisty cypel wracali do Taylor

Beach. Jak wędruję w prawie przezroczystym sarongu nocą po pustej plaży z przystojnym przyjacielem, z którym przed chwilą kochałam się na wydmach w świetle księżyca.

Chciałabym, żeby to widział! Do diabła, tak, chciałabym, żeby widział mnie teraz, pomyślała z goryczą.

Tyle zarzutów usłyszałam od niego w ostatnich tygodniach naszego małżeństwa. Że jestem odrętwiąła, że się przy mnie dusi, że go nudzę, że ciągnę go za sobą na dno, że czuje się przy mnie stary, że to ja jestem wszystkiemu winna i nawet nie będzie próbował ratować naszego małżeństwa, bo nie ma już czego ratować.

Nie, nie jestem „odrętwiąła”. I nie po mojej stronie leżała wina. Gdyby mógł widzieć mnie teraz, gdyby tylko mógł...

- No widzisz - powiedział Steve cicho, kiedy dotarli do jej domu. - Nikogo nie spotkaliśmy, a ja mogłem cię przytulać przez całą drogę.

- Uhm, to było miłe.

- Więcej niż miłe.

- Czy... wejdiesz? - Candace nachyliła się i wyjęła klucze zza donicy przy drzwiach.

- Nie. Pojadę do szpitala sprawdzić, jak czuje się Helen. Matt pewnie już wrócił do domu, żeby pomóc matce Helen przy dzieciach. Jeśli Helen jeszcze nie śpi, posiedzę przy niej trochę, chyba że będzie wołała zostać sama.

Candace skinęła głową, a Steve rozłożył ręce w bezradnym geście, jakby chciał powiedzieć: Nic więcej nie mogę dla nich zrobić.

- Jesteś bardzo związany z Mattem, prawda?

- Z obojgiem - przytaknął. - Jeszcze bardziej od śmierci rodziców. Wiesz, australijscy faceci...

- Zaczynam...

- Nie jesteśmy... nie rozmawiamy o tym, co ważne. Dzisiaj rano byłem gotów po wejściu na porodówkę trzepnąć

brata w ramię i wygłosić jakiś kretyński żart w rodzaju: No, teraz już, stary, możesz zawiązać sobie na supeł. A przecież cały czas myślę tylko o tym, żeby być z nimi, dać im coś z siebie.

- To ważniejsze niż słowa, Steve. Pojechałabym z tobą, ale wiem, że Helen nie chciałaby teraz widzieć nikogo obcego.

Candace otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Daj się pocałować jeszcze raz - poprosił Steve, nachylając się ku niej.

- Powiedz Helen i Matowi, że się za nich modlę.

- Powiem. Dobranoc, Candee.

- Dobranoc, Steve.

W chwilę później pod prysznicem zmywała z siebie piasek i sól. Była wyczerpana, nasycona miłością, szczęśliwa, ale i smutna z powodu małego bratanka Steve'a.

Położyła się o wpół do dwunastej, zasnęła dopiero po pierwszej. Ze snu wybudził ją telefon. Nieprzytomna zapaliła lampkę przy łóżku. Budzik wskazywał pięć po drugiej.

Przez głowę przemykały jej nieskoordynowane myśli o Stevie, o Helen, o dziecku, o plaży, zabranych przez ocean ubraniach. W słuchawce usłyszała głos córki.

- Ty spałaś, mamó? - zdziwiła się Maddy.

- Owszem. Tutaj jest druga w nocy.

- Nie! Powinna być szósta wieczorem. Obliczyłyśmy z babcią.

- Jesteś u babci?

- Tak. Babcia mówi, że Australia jest szesnaście godzin do tyłu.

Typowe dla Elaine West, założycielki West Interiors, jednej z najbardziej wziętych projektantek wnętrz w Massachusetts. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Ameryka może być wyprzedzana w jakiegokolwiek kwestii,



nawet w kwestii czasu. „Australia jest do tyłu”. Pewnie. Dlaczego by nie?

- My tu jesteśmy szesnaście godzin „do przodu”, kochanie  
- westchnęła Candace. - Zapewniam cię, że jest druga w nocy. Jak to się stało, że w dzień powszedni jesteś u babci?

Maddy zwykle spędzała u Elaine weekendy.

- Tata powiedział, że mogę dzisiaj nie pójść do szkoły. Przywiózł mnie tutaj po drodze do szpitala. Brittany urodziła dzisiaj rano o szóstej. Tydzień przed czasem. Tata chciał, żebym ci powtórzyła. Wszystko poszło dobrze. Tratatata. Waży cztery trzydzieści i będzie miał na imię Luke.

- Nie wydajesz się zachwycona - zauważyła Candace.

- Będę, jak go zobaczę. Dostanę kręćka na jego punkcie. Mój mały braciszek! Ale to trochę poplątane, wiesz? Brittany strasznie mi dokucza.

Zapadło milczenie i po chwili Maddy zdryfowała na bezpieczniejsze wody.

- Przepraszam, że cię obudziłam, mammo.

- Nie szkodzi - skłamała Candace. - Powiedz mi, co poza tym słychać.

Rozmawiały przez dziesięć minut, po czym w słuchawce rozległ się brzęczy pogróżką głos Elaine.

- Nie mam zamiaru kupować prezentu dla tego dziecka! Wyślę kwiaty i kartkę w twoim imieniu, bo wiem, że ty byś tak właśnie zrobiła.

- Owszem, mammo. To w końcu brat Maddy.

- Masz rację, to w końcu brat Maddy - zgodziła się Elaine. - Jesteś tak wspaniałomyślna, że szkodzisz sobie. Bardzo dobrze cię wychowałam. - Sprzeczność obu stwierdzeń najwyraźniej jej nie przeszkadzała.

- Okropnie dziwna z ciebie istota, ale cię uwielbiam - powiedziała Candace ze śmiechem.

- Ale od siebie prezentu mu nie kupię.

- Nikt nie twierdzi, że masz kupować, mamó.  
- Uprzedzam tylko na wypadek, gdyby przyszedł ci taki pomysł do głowy. Nie kupię!  
- Dzięki za wsparcie.  
- A poza tym - Elaine zmieniła ton - dasz sobie jakoś z tym radę?  
- Tak. Ja... - Candace musiała przerwać; by opanować oddech. - Dam sobie radę. Coś...

Zamilkła znowu.

Coś się dzisiaj stało. Urodziło się jeszcze inne dziecko i już nie żyje.

Myśl... życzenie tak mroczne, że wołała nie ubierać go w słowa, wypłynęło gdzieś z zakamarków umysłu i Candace zrobiło się niedobrze. Z gardła wydobył się jakiś nieartykułowany, zdławiony dźwięk.

- Słucham, Candy?  
- Nic - powiedziała szybko. - Muszę kończyć. Jutro bardzo wczesnie wstaję.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewna, że Australia jest do przodu?

- Jestem zupełnie pewna, mamó.

Kiedy odłożyła słuchawkę, nie próbowała nawet przyłożyć głowy do poduszki. Wstała, owinęła się kimonem z grubej bawełny i wyszła na taras, by zaczerpnąć powietrza, zanurzyć się na chwilę w mroku.

Naprawdę tak pomyślałam przez tę jedną krótką sekundę? Że to dziecko Todda powinno było umrzeć? Że Toddowi należałoby się to za jego zdradę? Boże, co się ze mną dzieje?

Ukryła twarz w dłoniach. Przypomniała sobie jasno, czego pragnęła, kiedy szła ze Steve'em plażą.

Chciałam, żeby wiedział, że kochałam się na wydmach. Chciałam mu to rzucić w twarz jak garść piasku i zobaczyć na

jego twarzy grymas bólu, może nawet zazdrości. To niegodziwe.

Może ludzkie i normalne, ale niegodziwe z tak wielu powodów, że nie wszystkie je potrafiła w tej chwili ogarnąć.

Po pierwsze dowodziło jej słabości. Nie uwolniła się jeszcze od Todda, skoro chciała go ukarać. Czy nowy związek rzeczywiście mógł ją uleczyć, czy tylko pogłębić ranę?

Jaką ma pewność, że nie zostanie znowu zraniona? Steve jest młody, przystojny. To, że dotąd się nie ożenił, też o czymś może świadczyć. Wmawianie sobie, że chciała tylko przeżyć przygodę, nie musi wcale stanowić wystarczającej ochrony.

Wreszcie jest nieuczciwa wobec Steve'a, jeśli za jego sprawą chce rozliczyć się z Toddem.

Todd. Todd z nowo narodzoną Maddy na ręku, szepczący Candace, jaki jest dumny, obsypujący ją kwiatami i prezentami, kupujący szampana, czekoladki, biżuterię.

Teraz, na drugim końcu świata, powtarzał te same rytuały wobec innej kobiety z powodu narodzenia innego dziecka.

Tak, jestem nieuczciwa wobec Steve'a. Używam go jako narzędzia. Jako broni. Strategia odwetu. Nóż wbity w plecy Toddowi. Śmiechu warte, bo przecież Todd nigdy się o tym nie dowie. Dobrze, zapomnijmy zatem o Todzie. Pozostaje tylko ona i Steve. Jej i jego potrzeby. Jego uczucia, jej podatność na zranienie -

Tak dłużej być nie może. Moje motywy są zbyt ohydne, nie chcę ich odnajdywać w sobie. Boję się. Nie jestem gotowa. Muszę mu to powiedzieć. Wcześniej powinnam była o tym pomyśleć i nie dopuścić do tego, co się stało.

Nie od razu powiedziała Steve'owi o swojej decyzji. Wstrzymywała się przez wzgląd na Helen i Matta.

Pogrzeb małego Robbiego odbył się w czwartek rano. Po pogrzebie Steve zabrał na resztę dnia sześciolatniego Jake'a

oraz trzyletnie bliźniaczki Claire i Annabelle, żeby ich pogrążeni w żałobie rodzice mogli zostać sami.

W piątek cała rodzina pojechała na piknik, a matka Helen, Barbara, spakowała do kartonów całą niemowlęcą wyprawkę. Candace wiedziała o wszystkim, z relacji Steve'a, który przyszedł do niej w piątek wieczorem. Nerwowo przemierzając salon, wyrzucał z siebie urywane zdania.

Przy piwie na tarasie chwilę jeszcze rozmawiali o pacjentach. Kiedy w końcu Steve zaproponował, by poszli gdzieś na kolację, potem do niego, uznała, że nadszedł właściwy moment

- Nie mogę, Steve. Ja... Lepiej nie.
- Nie? - Spojrzał na nią zaskoczony.
- Lepiej będzie nie ciągnąć tego dłużej. Milczenie.
- To... prawdziwa nowina.

Co powiedzieć? Jak mu to wyjaśnić?

Powiedzieć prawdę. To jedyne uczciwe wyjaśnienie. Skoro dotąd każdy gest, każda pieśczoła, dotknięcie były tak absolutnie szczerze, Steve'owi należy się teraz prawda.

- Zrozumiałam, że chodziło o Todda - zaczęła. - Chyba chciałam mu pokazać, że nie tylko jemu wolno angażować się w upojne romanse...

- Powiedziałaś mu o nas?

- Nie. - Załamała ręce. - Skądże. W ogóle o tym nie myślałam. Nie miałam takiego zamiaru. Sukces jest najlepszym rewanżem, kto to powiedział? - zapytała od rzeczy.

- Chyba Ivana Tramp. Candace zaśmiała się.

- Oczywiście! Jeszcze jedna, którą mąż zostawił dla młodszej. Nie potrafię... nie zrobiłabym nic podobnego. Tobie. Sobie. Obydwoje zasługujemy na coś lepszego.

- Lepszego? Ten wieczór na plaży był zupełnie dobry - rzekł Steve tonem, z którego trudno było cokolwiek wywnioskować.

- Był wspaniały. A ja w drodze powrotnej cały czas myślałam, że chciałabym mieć zdjęcia. Dowód. Nic skandalicznego, żadnej dosłowności. Na przykład my na plaży w zachodzącym słońcu, objęci, roześmiani. Po powrocie do domu któregoś dnia zostawiłabym je przez nieuwagę na stoliku w salonie.

- Idę do domu po aparat... Puściła mimo uszu jego komentarz.

- Todd by je znalazł. Albo Brittany. - Ukryła twarz w dłoniach. - To przecież... okropne.

Steve milczał.

- Widzisz! - powiedziała po chwili. - Słuchasz tego z obrzydzeniem.

- Nie.

- A powinieneś!

- Nie zrobiłabyś nic takiego. Fantazjowałaś. To spora różnica.

- Chciałam, żeby tak się stało.

- I szybko się otrząsnęłaś z rojeń.

- Wykorzystałam cię - nie ustępowała.

Usłyszała, jak Steve wciąga ze świstem powietrze i potem wypowiada jakiś pełen zniecierpliwienia komentarz. Na chwilę zapadła cisza.

- Zgoda, może wykorzystałaś. - Zaczął chodzić niespokojnie po pokoju. - Co mam ci powiedzieć, Candace? Że nie miałem nic przeciwko temu? Że możesz mnie wykorzystywać w ten sposób, ilekroć zechcesz? Nie. To nie zabrzmiałoby dobrze, prawda? Tu masz rację. Mógłbym dowodzić, że chodziło o coś więcej. Od cholery więcej. Bo

chodziło i to się liczy. Myślałem, że będziesz miała dość odwagi, żeby to dostrzec.

- Odwagi? Miałam dość odwagi, żeby powiedzieć ci prawdę.

- To tylko część prawdy, bardzo mała.

- Steve...

- Przestań, dobrze? Rób jak uważasz. Sprawa skończona. Było mi z tobą bardzo dobrze.

- Mnie z tobą też.

- Rozkosz, pożądanie, skądkolwiek płynęły, nie były jednostronne, Candace.

- Wiem.

Patrzył na nią przez chwilę. Candace poczuła, że robi się jej gorąco, skóra ją mrowi.

- Nie mam urazy - powiedział, przeciągając słowa.

- Dziękuję. - Nie była pewna, czy rzeczywiście.

- Jeśli będziesz czegokolwiek ode mnie potrzebowała, zawsze służę ci pomocą. - Pomyślała, że właśnie takiej deklaracji można się było spodziewać po człowieku pokroju Steve'a Coltona. Zobowiązania przede wszystkim. - W weekend mam dyżur pod telefonem na nagłych wypadkach, ale...

- Terry wraca w ten weekend - przerwała mu.

- Terry nie ofiaruje ci tego samego co ja.

Stwierdzenie zbyt otwarte, wabiące i zupełnie niepotrzebne, pomyślała. Napłynęły obrazy, wspomnienia tego, co jej ofiarował, i co przyjmowała, oddając w dwójnasób.

- To już koniec, Steve - wyrzuciła z siebie. Tym razem nie próbował więcej z nią dyskutować.

- Do zobaczenia, doktor Fletcher. - Wyszedł, nie czekając, że go odprowadzi do drzwi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dobry był surf w weekend, doktorze Colton? - zagadnął Joe Sheddin.

Wwiózł właśnie do sali kolejnego pacjenta Candace Fletcher. Był wtorek, czwarty wtorek amerykańskiej pani chirurg w szpitalu w Narralee.

- Jak marzenie, Joe, ale niewiele się nim nacieszyłem. Dyżurowałem pod telefonem na nagłych wypadkach, drugi weekend pod rząd. Mieliśmy sporo roboty. Kilku pacjentów musieliśmy odesłać do innych szpitali, w tym jednego do Sydney, dwóch innych do Canberry.

Steve widział Candace przez otwarte drzwi sali operacyjnej. Nachylona nad biurkiem rozmawiała przez telefon i coś notowała. Popatrzył na jej włosy upięte w węzeł na karku i nagle zdjęła go ochota, żeby zanurzyć w nich palce i powyciągać spinki, pozwalając im swobodnie opaść.

Wiedział, każdy nerw w jego ciele wiedział, że Candace pragnie go równie mocno jak on jej. Przyrzekał sobie wkrótce zmierzyć się z tą jej determinacją zaprzeczania samej sobie. Jeszcze nie teraz, powtarzał sobie od wielu dni. Zbyt szybki gambit i wracasz do punktu wyjścia po kolejnej bezsensownej dyskusji na temat jej byłego męża. Candace nie jest jeszcze gotowa, ale już niedługo...

Skończyła rozmowę z lekarzem ze szpitala w Harpoon Bay, odłożyła notes i zaczęła odkażać ręce, słuchając jednym uchem rozmowy między dwoma pielęgniarkami.

- Ja pływam tylko latem, od końca marca nie wchodzę do wody, za zimno - oznajmiła Doreen.

- No coś ty, właśnie jesienią jest najlepszy czas na kąpiele - obruszyła się Pat.

Czy się jej zdaje, czy też wszyscy stali się ostatnio bardziej rozmowni? Przyzwyczaili się do niej i ona przywykła do swobodnej atmosfery panującej w szpitalu. Powoli

zaczynała odstępować od swoich rygorów, nie wymagała już absolutnej ciszy w sali operacyjnej.

A może to wpływ Steve'a?

Widywała go co wtorek w szpitalu. Widywała? To za słabe określenie. Wymieniali spojrzenia, przyciągali się z magnetyczną siłą, każde zamienione zdanie brzmiało podwójnym znaczeniem. Nie przypuszczała, że ich kontakty zawodowe tak właśnie się ułożą. Oczekiwała napięcia. Wrogiego i nieprzyjemnego. Tymczasem nie. Ilekroć na nią patrzył, rozmawiał z nią, roztaczał wokół siebie aurę jakiejś przemyślniej, chytrej wiedzy i... tak... dlatego atmosfera w sali operacyjnej uległa zmianie.

Żeby uciec przed intymnością tej wiedzy, zaczęła rozmawiać z zespołem. Nie chciała, by Steve domyślił się, jak często wspomina tamtą noc na plaży i wszystkie inne noce.

- Zaczynaj liczyć, Eriku, od stu wstecz - zwrócił się Steve do pacjenta.

Kolejna operacja woreczka żółciowego. Pacjent był w dobrym stanie ogólnym, ale wcześniejsza operacja i blizna, jaka po niej pozostała, uniemożliwiała zastosowanie laparoskopii. Candace tym razem musiała zastosować tradycyjną metodę i otworzyć jamę brzuszną z pomocą większego nacięcia, co dla Eryka oznaczało kilkudniowy pobyt w szpitalu po zabiegu i dłuższą niż przy laparoskopii rekonwalescencję, ale w tym wypadku nie było wyboru.

- Wybierz się ze mną na basen morski koło portu, Doreen - zagadnęła Pat, kiedy zespół przystąpił do pracy.

Nadal rozmawiały o pływaniu. Brzuch pana Kelletta był już rdzawoczerwony od środka antyseptycznego.

- Nie wiedziałam, że jest tam basen ze słoną wodą - włączyła się Candace. - Skalpel, Doreen. Naturalny czy... - Zrobiła nacięcie możliwie daleko od blizny po poprzedniej operacji.



- Nie, betonowy, olimpijski basen - wyjaśniła Pat. - Dwa razy dziennie zalewa go przypyływ i woda jest zawsze świeża.

- Świeża morska woda? To brzmi jak... zabrakło mi słowa.

- Oksymoron - podsunął Steve.

- O właśnie - przytaknęła Candace.

Po otwarciu jamy brzusznej zobaczyła zbliżnienia i zrosty. Eric kilka lat wcześniej miał poważny wypadek samochodowy i przeszedł równie poważną operację.

- Gazik, nie... Tak, tutaj, Peter, trochę bliżej.

- Świeża - powtórzyła Pat stanowczo. - Bez chloru. Kapitalnie się tam pływa.

- Teraz już za zimno. - Doreen nie dawała się przekonać.

- Po kilku minutach nie czuje się już zimna.

Operacja przebiegała najzupełniej normalnie, tymczasem zespół podzielił się na trzy partie. Steve i Pat optowali za kąpielami i surfowaniem przez okrągły rok. Doreen i Netta Robertson, pielęgniarka asystująca Steve'owi, nie dawały się przekonać, Peter Moody zajął stanowisko pośrednie. Dzierżąc retraktor na swoim miejscu, przyznał, że owszem, jeśli ma po temu nastrój, może wejść do wody nawet w lipcu.

- Ale nie czyniłbym z tego zwyczaju - podsumował. Candace chciała więcej wiedzieć o australijskiej pogodzie.

- Jak tu jest właściwie w lipcu?

Oto i woreczek żółciowy na swoim miejscu, tam gdzie powinien być. Przez lateksową rękawiczkę wyczuła w nim kamienie, kilka również w przewodzie żółciowym. Kiedy tkwiły w woreczku, nie stwarzały większych problemów, co innego gdy przemieściły się do przewodu żółciowego.

- Zabiorę cię kiedyś wcześniej rano na basen - zaproponował Steve od niechcienia.

- A ja włożę ciepłą kurtkę i przyjdę na was popatrzeć - otrząsnęła się Doreen.

- I wtedy wepchnę cię do wody - zagroził Steve.

Candace zaśmiała się... kamyki wychodziły posłusznie... i poczuła tę samą miłą słodycz co zawsze, ilekroć słyszała radość w głosie Steve'a.

- Pacjent ma podniesioną temperaturę - zakomunikował Steve. - Trzydzieści osiem i pięć.

- Dziękuję. - Przewód był już czysty. - Zamykam przewód. Posuwamy się do przodu.

Skoncentrowana na operacji, myślała równocześnie o tym, co powiedział Steve. Pójdę z nim na basen? Muszę teraz kauteryzować to naczynie krwionośne... Nęćące. W porządku. Już nie krwawi... On doskonale wie, że serce mi mocniej zabiło. Krew trochę ciemna.

- Jak wskazania tlenu, Steve? - rzuciła rzeczowym tonem.

- W normie. - Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Czeka na to, że wszystko zacznie się od początku? Do diabła, przyznaj, że ty też na to czekasz.

- Temperatura się podnosi. Trzydzieści osiem i osiem.

- On się zaczyna pocić - zauważyła Doreen.

- Ciśnienie rośnie. - W głosie Steve'a zabrzmiała niespokojna nuta. - Przed chwilą było dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt, teraz już sto dwadzieścia cztery na osiemdziesiąt pięć.

- Ciemna krew - powiedziała Candace.

- Temperatura ciągle rośnie, coraz szybszy puls.

- Macie tutaj dantrolen? Szybko - zażądała Candace i Pat wybiegła z sali operacyjnej.

- Cholera, to hipertermia złośliwa, tak? - zaklął Steve. Po swobodnej atmosferze w jednej sekundzie nie zostało śladu.

- Nic innego - przytaknęła Candace. - Temperatura?

- Prawie czterdzieści stopni.

Cały zespół zdawał sobie sprawę, co oznacza hipertermia złośliwa, chociaż zdarza się bardzo rzadko. Na ogół jest to

cecha dziedziczna, reakcja na jakiś składnik narkozy objawiająca się gwałtownym podniesieniem temperatury, często połączona z hipertonią, sztywnieniem mięśni. Może zdarzyć się nawet u kogoś, kto jak Eric przeszedł wcześniej pomyślnie operację. Jeśli nie poda się w porę odpowiedniego leku, atak hipertermii może skończyć się zejściem.

- Nic innego - powtórzyła. - Nie skończyłam jeszcze. Nie mogę go teraz zamknąć.

Wróciła Pat z pudełkiem wypełnionym ampułkami dantrolenu. Dla dorosłego mężczyzny, jak Eric, potrzeba i trzydziestu sześciu ampułek, zanim lek zadziała.

- Jaka dawka? Ja... nigdy się z czymś takim nie spotkałam.

- Jeden miligram na kilogram masy ciała w dawce zwiększającej do dziesięciu. Sprawdź, masz tam wszystko, nie pamiętam dokładnie. Słyszałam, że to się ciężko miesza... Dren, Doreen.

- Nie, już się miesza.

- Dren?

- Tak! Peter, odsuń rękę. Kauter, Doreen. Steve, kontrolujesz serce?

- Piętnaście miligramów na kilogram masy ciała po dziesięciu minutach - mruknął. - Tak.

- Kroplówka z solą fizjologiczną, oziębianie powierzchniowe. Dzieci, róbcie swoje, nie będę wam mówić.

Krew ciągle była zbyt ciemna, niedotleniona. Czy nie powinna była zauważyć tego wcześniej? Zauważyła, ale myślała o tym, że pójdzie ze Steve'em na basen...

- Temperatura nie spada.

- Ile?

- Czterdzieści dwa. Sztywność mięśni.

- Zamykam go - oznajmiła wreszcie Candace. Spieszyła się. Być może zbyt się spieszyła.

- Dobrze. Temperatura zaczyna spadać - oznajmił Steve.

- Dobrze - powtórzyła. - Teraz kroplówka z glukozy, dwuwęglan sodu, dopilnujcie wszystkiego.

Minęła jeszcze godzina, zanim wyprowadzili pacjenta z kryzysu.

- Omal nam nie odpłynął. Cholera, omal nam nie odpłynął - powtarzał Steve, kiedy roztrzęsiony zespół przygotowywał się do następnej operacji.

- Przestań! - huknęła na niego Candace, ale była bardziej zła na siebie niż na niego. - Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

- Nie. - Steve pokręcił głową. - Uczyłem się o takich przypadkach, ale w praktyce...

- Wyrzucamy tyle tego drogiego leku, kiedy upływa termin ważności - wtrąciła Pat. - Jak tu pracuję piętnaście lat, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek okazał się potrzebny.

- Jeśli coś wskazuje, że w czasie operacji mogą pojawić się komplikacje, odsyłamy pacjenta do Sydney albo Canberry. Człowiek z góry zakłada, że u nas nic się nie stanie. Na tym polega problem prowincjonalnych szpitali. Ta operacja zapowiadała się na rutynowy zabieg. Ja... Nie, to są usprawiedliwienia. Powinienem być czuwać.

- Czuwaliśmy. Wszyscy - zaprotestował Peter Moody. - Wyciągnęliśmy go.

- Ja powinnam zareagować wcześniej - wtrąciła Candace. - Miałam do czynienia z trudnymi przypadkami, z dystrofią mięśni, z osteogenesis imperfecta. Mam za sobą więcej przeprowadzonych operacji niż ty, Steve, niż ktokolwiek z was. Spotkałam się już z hipertermią. Co prawda tylko raz, jeszcze na stażu, ale powinnam od razu zrozumieć, co się dzieje, kiedy powiedziałeś mi o podwyższonej temperaturze.

- W tamtej chwili nie było jeszcze żadnych innych symptomów - chciał ją usprawiedliwić Steve.

- Były. Krew była ciemniejsza niż powinna, a mnie nic nie tknęło. Zostawmy już ten temat. Masz rację, Peter, wyciągnęliśmy go z tego. Dziękuję wam wszystkim. - Candace wzięła głęboki oddech. - Kogo mamy teraz?

- Gwen Jolimont - rzekła Pat. - Usuwanie hemoroidów i żyłaków.

- Gotowa?

- Była już tutaj, ale dziewczyny wzięły ją z powrotem na oddział - wyjaśniła Doreen. - Bały się, że możesz odwołać zabieg. Zaraz do nich zadzwonię i powiem, że mogą ją przyprowadzić, - Siostra Wallace ruszyła ku drzwiom.

- Dziękuję, Robyn - rzuciła Candace.

Powoli atmosfera wracała do normalności, ale pozostał element napięcia, którego wcześniej nie było. Tym razem nikt nie rozmawiał, spełniając w skupieniu polecenia Candace.

Ciągle jeszcze zdenerwowana, tak bardzo usiłowała się skoncentrować, że skutek był odwrotny: przestała kontrolować to, co robi. W efekcie, kiedy wywieziono już z sali panią Jolimont, uświadomiła sobie, że kończąc operację, nie dała pacjentce znieczulenia miejscowego. Jak mogła? Teraz, ze względu na niskie ciśnienie, nie można było podać leków przeciwbólowych, bo te obniżyłyby jeszcze bardziej ciśnienie.

- Ostatni pacjent przewidziany na dzisiaj, Gordon Southwell, wazektomia, odwołał zabieg - oznajmiła Pat. - Po zastanowieniu doszli z żoną do wniosku, że wycofują się ze swojej decyzji.

Candace przyjęła z ulgą tę wiadomość. Wzięła prysznic i przeszła do herbaciarni, gdzie natknęła się na Steve'a.

- Pani Jolimont ma już lepsze ciśnienie, podałem jej środki przeciwbólowe - uspokoił Candace.

- Powinnam była dać jej znieczulenie miejscowe, Steve. Powinnam była zwrócić uwagę na to, że Eric ma niebezpiecznie ciemną krew!

Szukając oparcia, chwyciła go za ramię.

- Przestań się oskarżać. To ja kontrolowałem monitory, moim obowiązkiem było interpretować ich wskazania, zamiast przekazywać informacje tobie. Wszyscy powinniśmy wcześniej zareagować. Pat zaczęła panikować, Peter w pierwszej chwili opuścił ręce. Prawda, nic nie wskazywało, że mogą być kłopoty. Pacjent w dobrym stanie ogólnym, po przebytej już pomyślnie operacji. Ważne, że opanowaliśmy sytuację.

- Mało brakowało, a skończyłoby się tragicznie.

- Zgoda. Zostawmy to. Sama tak powiedziałaś przed operacją Gwen.

- A potem zapomniałam dać jej znieczulenie miejscowe, bo nie byłam w stanie tego zostawić.

- Daj już spokój.

Pogłaskał ją po dłoni i usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze. Wiedział już, że się nie mylił.

To jeszcze nie koniec. Niezależnie od tego, co mówiła o mężu, niezależnie od jego pełnych gniewu słów, to jeszcze nie koniec. Wiedział o tym cały czas i teraz nie chciał już dłużej czekać. Ona też wiedziała. Obydwoje, wstrzymując oddech, czekali na właściwy moment i ten moment nadszedł.

- Będę u ciebie około szóstej - powiedział cicho. - Pójdziemy gdzieś na kolację. Znam takie miejsce nad rzeką, gdzie podają owoce morza. Porozmawiamy.

- O czym?

- O czym zechcesz.

Nie dał jej wyboru, ale wiedział, że Candace nie przyjmie jego dyktatu, jeśli nie zechce. Czy będzie na niego czekała wieczorem? Był prawie pewien, że tak.

Czekała.

Co prawda nie zamierzała iść z nim na kolację, bo ciągle miała na sobie te same spodnie i bluzkę, w których wróciła ze szpitala. Była gotowa porozmawiać, i to wszystko. Mogli z powodzeniem rozmawiać tutaj zamiast w restauracji. Nawet swobodniej.

Steve przyszedł ubrany do wyjścia. Nigdy jeszcze nie widziała go tak wytwornym. Miał na sobie szaroniebieski garnitur i biały T - shirt.

- Wejdz - zaprosiła Candace. - Herbata czy...?

- Herbata - sarknął. - Mogłabyś zrobić to lepiej, Candace.

- Co?

- Powiedzieć mi, żebym zabierał się, skąd przyszedłem, zamiast składać głupkowate propozycje wypicia herbaty. Dalej, jesteś przecież odważna.

- Tak?

- Wystarczająco odważna, żeby kochać się ze mną na plaży. Dość odważna, żeby powiedzieć mi potem, co czułaś... albo wydawało ci się, że czułaś.

- Już o tym rozmawialiśmy.

Candace zamknęła oczy i zaraz je otworzyła. Przeszła do kuchni, żeby nalać coś zimnego do picia.

- Tłumaczyłam ci już, że chodziło tylko o...

- Nie chodziło tylko o Todda! - przerwał jej zirytowany. - Powiedziałem ci to już w czasie naszej poprzedniej rozmowy. Sporo o tym myślałem i nie wierzę. Nie reagowalibyśmy tak na siebie jak reagowaliśmy, nie kochali tak, jak się kochaliśmy, gdyby chodziło wyłącznie o twojego męża. Miałaś dziesięć dni czasu, żeby ochłonać i to przyznać.

- Wobec ciebie?

- Wobec samej siebie. Chciałaś, żebyśmy zostali kochankami. Kiedy życzenie się spełniło, natychmiast się wycofałaś. Nie dlatego, że mnie wykorzystywałaś, i nie

dlatego, że chciałaś sobie czegoś dowieść. Przestraszyłaś się. Tak wygląda prawda?

Candace milczała.

Prawda. Dziesięć dni temu była przekonana, że prawdą jest niemądra chęć dowiedzenia czegoś Toddowi. Czegoś, o czym i tak nigdy by się nie dowiedział. Wyrzuciła tę prawdę z siebie, pewna, że na tym się skończy. Najwyżej zostanie trochę żalu, niechęci, w najgorszym razie odrazy.

Wielokrotnie wysłuchiwała zwierzeń swoich samotnych przyjaciółek, знаła ten schemat. „Przespaliśmy się ze sobą dwa razy - mówiły z niesmakiem. - Nie rozumiem, co ja w nim widziałam. Powinnam była pomyśleć, zanim z nim poszłam do łóżka. Zero kontaktu. Nic”.

Ze Steve'em było zupełnie inaczej. Czowała, że z łatwością mogłaby zacząć wszystko od początku, pozwolić, by znowu pojawił się w jej życiu. I on o tym wiedział.

Stała przy zlewie, usiłując wydobyć kostki lodu z tacki, kiedy objął ją od tyłu i dotknął wargami jej karku.

- Lubię, jak masz włosy zaplecione tak jak teraz. Łatwiej cię wtedy całować w szyję, a potem...

Powinna w tym momencie powiedzieć nie, odsunąć się i pokazać mu drzwi. Nie zrobiła tego. Odwróciła się z westchnieniem i przytuliła do niego, czekając na pocałunek.

- Wiedziałeś, że tak będzie - powiedziała cicho. - Wiedziałeś...

- A ty nie?

- Nie. Myślałam... Chciałam... - Odchyliła głowę i poczuła jego wargi na ustach. - Tak - przyznała w końcu. - Wiedziałam.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem się zaśmiał.

- Nie wiem, czy wiesz, jak to wspaniale, że nie próbujesz się opierać. Że czujesz to samo co ja... Tak mi z tobą dobrze, Candace, tak dobrze.



- Przestań tyle gadać, bo zaraz zacznę się zastanawiać...

Do restauracji dotarli dopiero koło ósmej i przesiedzieli tam aż do zamknięcia. Steve został na noc u Candace. Rano wyszli do swoich zajęć w ostatniej chwili, o pustym żołądku. W weekend pojechali na basen, wybrali się też na pieszą wędrówkę za miasto. W czasie tygodnia niemal każdą wolną chwilę spędzali razem.

- Trzeba czymś wypełnić czas do wieczora, kiedy można już wreszcie iść do łóżka - pokpiwał Steve.

O swoich pacjentach rozmawiali przez telefon dłużej niż to konieczne. Eric Kellett nie miał żadnych powikłań po ataku hipertermii i szybko zdrowiał. Steve zdjął szwy Andrei Johnson. Rekonwalescencja Gwen Jolimont też przebiegała pomyślnie.

Steve i Candace zamawiali do domu jedzenie na wynos, oglądali filmy, spacerowali wieczorami po plaży, obserwując fale. Rozmawiali o głupstwach i sprawach ważnych. Czasami szli na wydmy, rozkładali koc, kochali się pod księżycem i uważali, gdzie zostawiają rzeczy.

W innych kwestiach też uważali. Po pierwsze, zabezpieczali się. Raz tylko odeszli od tej zasady, tej nocy, kiedy ocean zabrał im ubrania. Candace szybko upewniła się, że ta lekkomyślność nie przyniosła żadnych konsekwencji. Od początku zresztą niezbyt się martwiła, bo nie był to akurat niebezpieczny dzień.

Uważali też, by utrzymać swój romans w tajemnicy, co ułatwiał fakt, że Steve mieszkał w sąsiedztwie. Na spacery chodzili dopiero po zmroku, nie chcąc, by ktoś ich spotkał.

Nikt nie czynił żadnych uwag, które sugerowałyby, że w szpitalu domyślają się, co ich łączy. Mieli szczęście. Mieszkali przecież w niewielkim miasteczku. Mogli natknąć się na

kogoś znajomego choćby w restauracji, ale nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

W cztery tygodnie po tym, jak znowu zaczęli się spotykać, Candace otrzymała pierwszy sygnał, że nie byli jednak wystarczająco ostrożni. Okres spóźniał się już o ponad tydzień, piersi miała nabrzmiałe, zapach ketchupu, benzyny, odświeżacza do powietrza i dziesiątków innych rzeczy przyprawiał ją o nudności.

Niemożliwe, myślała, Steve był w tej kwestii wyjątkowo odpowiedzialny. Coś sobie roję. Na pewno.

Ale kalendarz nie kłamał. Żywo stanęły jej w pamięci wspomnienia pierwszych miesięcy, kiedy chodziła w ciąży z Maddy. Przez kilka dni wmawiała sobie, że to nieprawda, przywoływała wszelkie możliwe racjonalizacje: nowe otoczenie, zmiana klimatu, napięcie emocjonalne, posuwała się do absurdu, zrzucając winę na odmienne fazy księżyca i różnice w składzie chemicznym wody pitnej.

To dlatego okres się spóźnia. Dlatego czuje się tak dziwnie. Nie ma innego powodu.

Aha, jasne...

W końcu pewnej niedzieli pojechała do apteki w odległym o kilkadziesiąt mil mieście i kupiła test ciążowy. Wróć do domu, dopiero wtedy go zrobię, postanowiła.

Dziesięć minut później zatrzymała samochód koło parku, weszła do toalety publicznej, otworzyła plastikową torebkę z testem. Po minucie miała wynik. Był pozytywny.

- Miła niespodzianka - przywitał ją Steve, kiedy po lunchu pojawiła się w progu jego domu. - Wybierałem się właśnie na plażę. Pójdiesz ze mną?

- Emm, nie.

- Nie?

Steve, który zarzucał właśnie ręcznik na szyję, znieruchomiał. Przyjrzał się Candace uważnie: wypieki,

nieobecny wyraz twarzy, zaciśnięte usta. Tknęło go jakieś złe przeczucie. Czyżby znowu zamierzała zerwać?

Nie przeciągaj struny, moja droga, chciał powiedzieć. Nie analizuj tego, co się dzieje, nie próbuj zadawać pytań. Deklarowałaś, że chcesz się ze mną spotykać. Jest nam razem dobrze, czy nie tak?

Lepiej niż „dobrze”. Chryste, jakie to szczęście, że ją spotkał! Kochał jej zmysłowość. Kochał patrzeć na nią przy stole operacyjnym. Uwielbiał jej poczucie humoru. Cieszyło go obserwowanie, jak pozbywa się swojej starej skóry, jak zaczyna żyć na nowo.

Prawda, znał ją krótko, niecałe dwa miesiące. Intuicja intuicją, chemia chemią, ale człowiek jest przecież istotą skomplikowaną. Co właściwie wiedział o Candace? Może spędzali zbyt wiele czasu w łóżku. Istniało niebezpieczeństwo, że ich przygoda może się potoczyć w niebezpiecznym kierunku...

- Steve, musimy o czymś porozmawiać...

- Znowu? - wypalił, zanim zdążył pomyśleć.

- Nie. To świeży problem. - Zaśmiała się krótko. - Bardzo świeży.

- Jak świeże truskawki, mam nadzieję.

- Przestań. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Jestem w ciąży.

Łup!

Uderzył z całych sił siedzeniem o poduszki kanapy. Nagle zrozumiał, co znaczy określenie „nogi jak z galarety”. Nigdy wcześniej nie przeżył takiego doświadczenia fizycznego. Krew pulsowała mu w skroniach, ale miał na tyle przytomności umysłu, by zdać sobie sprawę, że zareagował beznadziejnie.

- To... niespodzianka - wykrztusił.

- Owszem. - Pokiwała głową. - To znaczy, niekoniecznie. Takie rzeczy się zdarzają. My staraliśmy się... Rzeczywiście, niespodzianka. - Zaczerwieniła się, uśmiechnęła.

Ona się cieszy. Próbował oddychać głęboko, ale żaba w gardle rosła.

- Gratuluję - bąknął, a Candace się rozpromieniła i zaraz zachmurzyła.

- To zwariowane uczucie, ale jestem szczęśliwa. Naprawdę. Przepraszam, że... Po prostu ci mówię. Nic nie chcę. Jeszcze się nie zdążyłam zastanowić... nad niczym.

- Co to oznacza dla nas? - zapytał, sądząc, że sama stawia sobie to pytanie.

Rozłożyła ręce. Mógłby zrobić to samo.

- Nie wiem.

- Nie zamierzam odwrócić się od ciebie - przyrzekł. Obietnica mglista, ale szczerza. Boże, co innego mógł obiecać. Nic, co mogłaby źle zrozumieć, wyolbrzymić, a czego on potem by nie dotrzymał. Niczego nie był pewien, dotąd nie wiedział, jak określić łączące go z Candace relacje.

- Nie podejrzewałabym cię o to.

Na widok jej rozświetlonych oczu wpadł w jeszcze większą panikę.

- Ale nie ożenię się z tobą - oznajmił może zbyt porywczo. - To byłoby nie w porządku podejmować takie nagłe decyzje.

Candace uniosła głowę.

- Nie proszę cię, żebyś się ze mną żenił, Steve. Nie oczekiwałam tego. Przyjechałam tutaj tylko na rok. To był...

- Odskok od normalnego życia, tak? - Nie podobało mu się to określenie. Przypominało o Agnetcie. Dawno już przestał porównywać Candace ze swą szwedzką przyjaciółką.

- Chciałem powiedzieć...

- Nie, w porządku - zgodziła się. - Masz rację. Bądźmy ze sobą szczerzy. Obydwojgu nam to odpowiadało, prawda?

- Owszem.

- Musimy się teraz zastanowić, co dalej.

- Cieszysz się - powiedział cicho. - Nie zaprzeczaj. Skąd ta radość?

Candace zaśmiała się.

- Bo... - zaczęła. I wybuchnęła płaczem.

Podszedł do niej, ale nie mógł się pozbyć uczucia paniki. Co ich łączy? Znają się niecałe dwa miesiące. To wykracza poza luźny związek. Dziecko? Zmiany nastrojów, nudności, przybieranie na wadze, bolące nogi... i plotki. Ludzie przecież w końcu się dowiedzą...

Dziecko.

Ludzka istota zrodzona z nich dwojga. Pojawi się na świecie na miesiąc, dwa przed powrotem Candace do domu. Chyba że Candace skróci swój pobyt w Australii i wcześniej wróci do Bostonu. Czy chciałby tego? Nie potrafił powiedzieć.

Tak, spanikował. Zacisnął zęby, starając się nie okazywać, co czuje. Przygarnął Candace i głaskał ją delikatnie po plecach. Szybko się opanowała.

- Ups. Nie wiem, co mi się stało.

- W porządku.

- Nie, jesteś przerażony. - Uśmiechnęła się, uwolniła z objęć Steve'a, wytarta oczy. - Dziewięć miesięcy szaleństwa hormonów, Każdy byłby przerażony.

- No cóż...

- Posłuchaj, to proste.

- Słucham. Bardzo chciałbym usłyszeć coś prostego.

- Byłam taka szczęśliwa, kiedy urodziła się Maddy. Zawsze chciałam mieć drugie dziecko, ale mój były mąż przekonał mnie, że jedno to dość. Teraz wreszcie się

doczekałam i wbrew wszelkiej logice, choć zapewniam cię, że potrafię myśleć logicznie, jestem szczęśliwa. Nacieszę się tym uczuciem, a potem zacznę robić sensowne plany. Niech tylko się uspokoję.

Kiedy? - pomyślał. On też musi się uspokoić.

- Chciałam ci powiedzieć od razu - ciągnęła - bo... bo uważam, że masz prawo wiedzieć.

Prawo wiedzieć.

Tylko tyle? Może chciałby się domagać czegoś więcej? Prawa do bycia ojcem.

W tej chwili, czuł to, żadne z nich nie wiedziało, jak postępować dalej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie wytrzymam dłużej, mam. Mogłabyś porozmawiać z tatą? Zapytaj, czy nie zgodziłby się, żebym do końca roku szkolnego mieszkała u babci. Jak się zaczną wakacje, przyjadę do ciebie - wyrzuciła z siebie Maddy jednym tchem w czasie rozmowy telefonicznej pod koniec maja.

Candace długo ważyła odpowiedź. Wzięła głęboki oddech. Była w dziewiątym tygodniu ciąży i męczyły ją nudności.

- Do końca roku szkolnego - powtórzyła. - To znaczy około dwóch tygodni, tak?

- Powiedz tacie, że za mną tęsknisz.

- To prawda. Bardzo za tobą tęsknię.

- I chcesz, żebym do ciebie przyjechała. Niech kupi mi bilet. Brittany doprowadza mnie do szafu, mały cały czas ryczy.

- I doprowadza do szafu Brittany.

- Jest cudowny, kiedy się nie drze. Mniej więcej trzy minuty dziennie. Ona ma koło łóżka wysoką jak wieża stertę książek o niemowlętach i tylko o tym mówi. Co zrobić, żeby nie ryczał. Znikam z domu, kiedy mogę. Praktycznie mieszkam u babci albo u Alicji. Gdybym do twojego powrotu mogła się przenieść do babci, może nie zeświruję. Brittany chyba go przekarmia.

- Skąd możesz wiedzieć, kochanie?

- Jest coraz grubszy. Daje mu chyba dwanaście butelek dziennie. Wiem, bo muszę je myć i sterylizować. Wyobrażasz sobie! Od tego zależy moje kieszonkowe. Które się podwoiło - przeciągnęła przez zęby i Candace wybuchnęła śmiechem. Chciała powiedzieć, Kocham cię, ale wiedziała, jak córka zareagowałaby na takie czułości.

- W ogóle nie jemy normalnie - ciągnęła Maddy. - Tata prawie co wieczór przynosi jakieś żarcie na wynos. Wiesz,

myślałam, że nigdy nie będę miała dość hamburgerów i pizzy, ale się dowiedz, że mam dość. Marzę o sałacie i domowym...

- Dość już. Chcę, żebyś tu przyjechała. - Co oznaczało „kocham cię”, ale brzmiało trochę lepiej.

- Potem dojedzie do nas babcia i razem z nią wrócę do domu. Potem mam obóz teatralny - oznajmiła Maddy radośnie, zdradzając, że wszystko zostało obmyślane, zanim jeszcze podniosła słuchawkę.

Spisek babki i wnuczki, pomyślała Candace z ciężkim westchnieniem. Zmasowany atak. Maddy i Elaine zawsze były kute na cztery nogi.

- Kiedy chcecie wracać, kochanie?

- Pod koniec lipca. Babcia może wyjechać z Bostonu najwyżej na dwa tygodnie.

Będę wtedy w czwartym miesiącu, ciąża stanie się widoczna. Tak w każdym razie było, kiedy chodziłam z Maddy. Mama na pewno się domyśli, a po kilku tygodniach wszyscy będą już wiedzieli.

Do tej pory nie zastanawiała się nad tym. Nie zastanawiała się nad wieloma rzeczami. Skupiała się na tym, by przebrnąć przez kolejny dzień, nie dając nic po sobie poznać. Czuła się okropnie, wystarczyło, że zjadła coś nieodpowiedniego albo o nieodpowiedniej porze, albo nie wyspała się, a spać musiała przynajmniej dziesięć godzin dziennie. Tylko wolniejsze tempo pracy pozwalało jej w dalszym ciągu ukrywać ciążę. Gdy tylko mogła, wstawiała późno, wcześnie kładła się spać, przynajmniej dwa razy w tygodniu ucinając sobie drzemki w środku dnia, żywiła się krakersami, winogronami i grzankami.

Przekonała się na własnej skórze, że ciąża w wieku trzydziestu dziewięciu lat to zupełnie coś innego niż kiedy jest się dwudziestodwulatką. Nie chodziło tylko o ciągłe zmęczenie i nudności. Pozostawała konieczność przeprowadzenia badań prenatalnych. Przy Maddy nie miała



tego problemu. Mogła być pewna, że urodzi zdrowe dziecko. Teraz musiała podjąć decyzję. Nie rozmawiała o tym jeszcze ze Steve'em.

Nadal się widywali, nie widzieli powodu, by zakończyć łączący ich układ, ale stąpali po cienkim lodzie. Nie chcąc go angażować, Candace cały czas zachowywała się tak, jakby wcale nie była w ciąży. Dokładnie tak jak w sali operacyjnej i podczas przyjęć w gabinecie.

Steve, z drugiej strony, traktował ją jak porcelanową figurkę, która, lada chwila może się stłuc. Pewnie bałby się z nią kochać, gdyby za każdym razem nie zaciągała go do łóżka. Potem był oczywiście szczęśliwy. W końcu te podchody Candace przeszły w obyczaj.

Taka sytuacja nie mogła dłużej trwać.

- Zaczynam rozpoznawać to spojrzenie - powitał ją na progu swojego domu tego dnia, kiedy zadzwoniła Maddy. Przechyliwszy lekko głowę, przyjrzał się Candace uważnie. - Wchodźcie, całą trójką.

- Trójką?

Weszła do prosto urządzonego, przytulnie oświetlonego saloniku. Zaczynała się tu czuć jak w domu. Może aż za dobrze.

- Tak. Trójką. Ty, dziecko i paczka chipsów, którą tulisz w ramionach. Prawie taka wielka jak ty.

- Byłam głodna. Gdybym...

- Zaraz od wejścia nie zaczęła jeść chipsów, to pewnie zaczęłabym wymiotować. Wiem. Daj. - Wyjął jej torbę z objęć, rozdarł, oddał otwartą i lekko pogłaskał Candace po policzku. - Przyszłaś na kolację?

- Już jem kolację.

Żołądek się uspokoił po kilku cieniutkich słonych krążkach. Szkoda, że efekt był taki nietrwały.

- Ja też bym coś zjadł. Na co masz ochotę?

- Na nic nie mam ochoty.
- Makaron?
- Niech będzie makaron, ale jedzenie może poczekać.

Wziął ją w ramiona i zaczął kołysać.

- Biedactwo. Siadaj, chrup swoje chipsy i powiedz mi, co oznacza ta mina.

- Mina?

- Twoja mina. Mina numer trzy, jeśli dobrze rozpoznaję.  
„Musimy o czymś porozmawiać”.

- Zgadza się. Jezu! Ponumerowałeś moje miny.

- Siadaj!

Pchnął ją delikatnie na kanapę i usiadł obok. Czując ciepłe dotknięcie jego uda, od razu poczuła się lepiej. A może to tylko chipsy?

Wzięła następnego i oparła głowę na ramieniu Steve'a. Nie, to ani dotknięcie, ani chipsy, ale fakt, że potrafił odczytywać intencje z wyrazu jej twarzy. Miłe.

- Musimy zdecydować, co z badaniami prenatalnymi, Steve. Biopsję najlepiej przeprowadzać w jedenastym tygodniu, a ja jestem w dziewiątym.

- Wiem. Zamierzałem dać ci jeszcze trzy dni czasu i sam poruszyć ten temat.

- Dlaczego akurat trzy dni? Nie musiałeś czekać. Mogłeś zacząć o tym mówić, kiedy chciałeś. Myślałeś o tym?

- Jak to, czy myślałem? - Zerwał się z kanapy i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. - Po tym, co przeżyli Helen i Matt? Chryste, Candace!

Też chciała wstać, ale nagle chwyciły ją nudności. Zacisnęła zęby i opadła na kanapę.

- Cholera, przepraszam - mruknęła. - Tak mi przykro. Nie skojarzyłam.

To był jeden z problemów utrzymywania związku w tajemnicy. Nie poznała Helen i Matta. Od rodzinnej tragedii

minęły dwa miesiące, a ona była tak pochłonięta własnymi sprawami, że nie przyszło jej do głowy, że tamta śmierć nadal musi dręczyć Steve'a.

Chciała raz jeszcze przeproszać za swoją bezmyślność, ale Steve nie dopuścił jej do głosu.

- Nie, to ja przepraszam. Nie powinienem krzyczeć na ciebie.

- Powinieneś na mnie krzyczeć. Zasłużyłam sobie. Nie jestem aż taka krucha. Możesz krzyczeć na mnie, kiedy chcesz.

- Zostawmy to. Miałaś... inne sprawy na głowie. Powiedz mi, co postanowiłaś.

Przyciągnął sobie krzesło z kąta jadalnego, usiadł na nim okrakiem, oparł ręce na zapiecku.

- Razem musimy postanowić.

Milczał przez chwilę, po czym zaczął ostrożnie:

- Niekoniecznie. Twoim domem są Stany, Candace. Nie możemy tego ignorować. To ty będziesz zajmowała się dzieckiem, nie ja, niezależnie co postanowimy w sprawie moich z nim kontaktów. Wobec siebie nie możemy podejmować żadnych zobowiązań, co do tego jesteśmy zgodni. Nie mam prawa narzucać ci swojego zdania.

- Nie - przytaknęła. - A jednak chciałabym je znać. Skinął głową.

- Dziękuję. Wydaje mi się... Czułbym się pewniej, gdybyśmy wiedzieli, że wszystko jest w porządku. W twoim wieku ryzyko urodzenia dziecka z Downem wynosi mniej więcej jeden do stu trzydziestu pięciu. To dość wysokie ryzyko.

Candace skinęła głową. Steve przyglądał się jej spod zmrużonych powiek, oparł brodę na przedramieniu. Dopiero teraz zaczęła sobie uświadamiać, że jak na przelotnego kochanka, Steve Colton jest zbyt inteligentny i wrażliwy.

- Gdyby Helen i Matt przeprowadzili testy, jaką podjęliby decyzję? - zapytała po chwili wahania.

- Nie wiem. Tak samo jak nie wiem, jaką ja podjąłbym decyzję, gdybym usłyszał, że dziecko ma zespół Downa albo inne upośledzenie. Nie wiem. Musiałbym to usłyszeć, żeby zmierzyć się z faktem.

Candace wyprostowała się.

- Czytasz w moich myślach?

- Tak. Każdego dnia rano czytam szczegółowy biuletyn w Internecie. Dlaczego?

- Chciałam powiedzieć to samo, tylko chyba jeszcze tego nie sformułowałam w słowach. Chcę zrobić testy, Steve, choćby tylko po to, żeby wiedzieć, co nas czeka.

Przesiadł się na kanapę i przytulił Candace. Oparł czoło o jej czoło i siedzieli tak przez długą chwilę. Potem ją pocałował. Nie było w tym pocałunku pożądania, tylko czułość. Takiego pocałunku właśnie potrzebowała.

- Chodź, pomożesz mi robić makaron. Na jaki sos masz ochotę?

- Ze słoika?

- Niekoniecznie. Jestem zdolnym kucharzem. No to jaki?

Zamknęła oczy, usiłując wzbudzić w sobie ochotę na jedzenie. Jakiegokolwiek.

- Hm. Coś prostego i słonego. Bez pomidorów. Bez mięsa. A może...

- Już wiem, Candee.

- Słucham? - Włożyła do ust kolejnego chipsa.

- Zostaw to mnie. Wymyślę coś z mocnym słonym akcentem.

Po kwadransie na stół wjechał półmisek fettucini z oliwkami, czosnkiem, anchois, świeżym koperkiem i serem.

- Tak się zastanawiam - zaczął, kiedy usiedli do kolacji - że powinniśmy pojechać do Sydney i tam zrobić testy.

- Tak daleko?

- Tutaj nikt ich nie przeprowadza. Musimy jechać do Sydney albo do Canberry. W naszej sytuacji tak będzie nawet lepiej - dodał po chwili.

Nie próbowała się sprzeczać, ale zaczynała się zastanawiać, czy jest sens nadal upierać się przy zachowywaniu tajemnicy. Ustalili to dwa i pół miesiąca wcześniej, ale od tego czasu wiele się zmieniło, a miało się zmienić jeszcze więcej.

Nie, utrzymanie ich związku w tajemnicy nadal jest konieczne, uznała po chwili namysłu.

Nie chciała żadnych pytań ze strony kolegów i znajomych, a już zupełnie nie wyobrażała sobie, co miałyby powiedzieć mamie czy Maddy, gdyby zaczęły dopytywać się, jakie ona i Steve mają plany na przyszłość.

Przyszłość.

Przyszłość to badania prenatalne i ich wyniki, na które będą musieli czekać trzy tygodnie. Dalej nie sięgała myślą.

- Sam wypiszę ci skierowanie - mówił Steve. - Polecałbym ci Iana Stricklanda w Sydney. Jest naprawdę dobry. Spróbujemy pojechać w piątek, moglibyśmy zostać na sobotę, może nawet na cały weekend.

- Ciągłe mówisz: my - zauważyła z lekkim wyrzutem.

- Tak. - Podniósł wzrok. - My. Nie sądzisz chyba, że puszcze cię samą.

Poczuła, że jeszcze chwila, a się rozpłacze.

- Maddy przyjeżdża - wyrzuciła z siebie. - Moja córka.

Po co dodała to wyjaśnienie? Wiedział przecież, kim jest Maddy.

- Kiedy?

- Za dwa, trzy tygodnie. Dzwoniła dzisiaj rano zapytać, czy się zgadzam, ale już wcześniej miała wszystko

zaplanowane. Babcia ją wsparła. Zawsze trzymają razem. Takie rodzinne sprzymierzenie broni,

- Cieszysz się?

- Bardzo. - Candace zaśmiała się. - Bardzo się cieszę, ale nie mam zielonego pojęcia, jak z tego wybrnę.

- Musisz do niej koniecznie zadzwonić i tak ustalić czas przyjazdu, żeby nie zbiegł się z terminem badań. A co do reszty, będziesz się martwiła później.

- Coraz lepiej mi idzie odkładanie zmartwień na później. Lepiej niż bym chciała. - Wbiła wzrok w talerz z makaronem i tym razem trudniej już było powstrzymać łzy.

Do Sydney pojechali w sobotę rano. Chociaż zaczęła się już zima, australijskie drzewa nie traciły liści, a trawa nie pożółkła. Późnojesienne deszcze sprawiły, że wszystko wokół nadal się zieleniło. Niebo było błękitne, gdzieś tam można było nawet dojrzeć kwitnące krzewy.

Zawinięta w pled, z poduszką pod głową Candace obserwowała przesuwane się za szybami samochodu krajobrazy. Zaczynał się jedenasty tydzień ciąży, nudności powoli zaczynały mijać i z radością wyglądała weekendu poza domem.

Steve zarezerwował pokój w pensjonacie na Cremorne Point na północ od portu, a dzisiaj wieczorem wybierali się na kolację do restauracji w pobliżu opery, później na głośny musical. Jutro będą zwiedzali port i miasto. W poniedziałek Candace miała zamówioną wizytę u doktora Stricklanda, we wtorek przylatywała Maddy.

- Przysypiasz? - zapytał Steve, kiedy za zakrętem autostrady otworzył się widok na ocean.

- Nie. Jestem śpiąca, ale szkoda mi tracić piękne widoki.

- Dla kogo piękne, dla tego piękne - mruknął Steve z żartobliwym przekąsem. - Ja muszę uważać na drogę.

- Możemy się zamienić. Kiedyś już pozwoliłeś mi prowadzić swój samochód.

- Nie będziemy się zamieniać.

Ciągle traktował ją jak kruchą figurkę z porcelany, a ponieważ przez większość czasu istotnie tak się czuła, specjalnie nie oponowała. Może nie chce usnąć dlatego, żeby nic nie uronić z tego weekendu, zachować każdą jego ceną chwilę w pamięci.

Godzinę później zatrzymali się w parku przy plaży na przedmieściach Sydney nad Botany Bay i zjedli przygotowany przez Steve'a lunch: sandwicze z szynką na francuskiej bułce, do tego herbata. Potem Steve wyjął maślane bułeczki polane grubą warstwą różowego lukru.

- Dziękuję, nie - wzdrygnęła się Candace, kiedy podsunął jej jedną.

- Mogę ją zjeść?

- Kiedyś już ich próbowałam. Sam mówiłeś, że przypominają kauczuk. Jak można jeść coś takiego? I to dwie na raz.

Steve uśmiechnął się szeroko.

- Prawdziwy Australijczyk musi od czasu do czasu kilka wsunąć.

- Nie jestem prawdziwym Australijczykiem.

- To prawda - przyznał ze wzruszeniem ramion.

Z lotniska położonego niecałe dwa kilometry od parku, w którym siedzieli, wystartował potężny boeing 747 australijskich linii Quantas. Szybko nabierał wysokości nad płytkimi wodami zatoki, kierując się na północny zachód.

Dokąd leci? Może do Stanów, gdzie w swoim bostońskim pokoju Maddy szaleje teraz, pakując walizki pośród bałaganu nie do opanowania?

O tej porze za dwa dni Maddy będzie już na pokładzie samolotu, a za trzy dni wylądaje w Sydney.,.

- Nie możesz się już doczekać? - zagadnął Steve, idąc za wzrokiem Candace.

- Znowu czytasz w moich myślach?

- Patrzę na twoją twarz.

- Mina numer...?

- Dwa - odparł bez wahania. - Dużo o niej myślisz, prawda?

- Oczywiście.

- Dlaczego nie zabrałaś jej ze sobą?

Bo wtedy nasza przygoda byłaby niemożliwa. Coś jej mówiło, że nie powinna zgłębiać tej myśli.

- Maddy chciała zostać w Stanach. Australia to dla niej kraj z filmów: węże, rekiny, szałaszy pośrodku pustyni, faceci w kapeluszach ze skóry krokodyla.

- Wspaniale. - Steve zaczął się śmiać. - Przypomnij mi, żebym upolował krokodyla, jak tylko wrócimy do Narralee.

- Tu nie mogłaby spotykać się z przyjaciółkami ani umawiać na randki i nie zostałaby przewodniczącą samorządu klasowego. Nie namawiałam jej, chociaż bardzo chciałam, żeby przyjechała ze mną. Zawsze była bardzo samodzielna. Miała osiem lat i już jeździła na obozy letnie, nie uroniwszy jednej łzy przy pożegnaniu. Nawet kiedy mówi, że za mną tęskni, czuję jej niezależność. Poza tym... była mi potrzebna samotność. Czułam, że muszę uciec na jakiś czas z Bostonu. Jej rozłąka też wyjdzie na dobre. Kiedy wrócę, będę lepszą matką. - Zaśmiała się z własnych słów. - Mniej pokręconą, mniej zgorzkniałą...

Zamilkła nagle. Lepszą matką? Zupełnie inną matką. Samotną matką z niemowlęciem w ramionach. Takie się to wydawało nierealne. Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie za kilka miesięcy. Tak bardzo, że mówiąc o Maddy, zapomniała, że jest w ciąży.



- A teraz mam minę numer...? - zapytała zaczepnie, wytracona z równowagi własnymi myślami.

- Nie wiem. Jeszcze jej u ciebie nie widziałem. Zbieramy się?

- Jedźmy. Zachciało mi się spać. Jak tylko dotrzemy do naszego pensjonatu, utnę sobie drzemkę.

Raptem poczuła się bardzo zmęczona. Miała dość widoku samolotów. Lądujące i startujące wielkie odrzutowce przypominały o tym, że świat jest ogromny. Zbyt ogromny dla kogoś, kto nosi w łonie dziecko, którego rodziców niedługo rozdzieli bezmiar Pacyfiku.

Odetchnęła, kiedy przejechali tunelem pod pasami startowymi lotniska, zostawiając za sobą samoloty.

Pensjonat okazał się wyjątkowo przytulny. Staroświeckie meble, wliczone w rachunek drinki, miękkie ręczniki, pachnąca pościel i wspaniały widok na zatokę.

- Zdrzemnę się na chwilę - powiedziała Candace, kiedy się już rozpakowali.

- Śpij spokojnie. Pójdę na spacer w stronę portu, popatrzę na promy.

- Pół godziny.

Spała dwie i obudziła się dopiero, gdy Steve wsunął się do łóżka.

- Nie mogłem już dłużej wytrzymać bez ciebie - mruknął.

- Mogę?

- Wiesz, że zawsze.

- Przyglądam ci się od dziesięciu minut. Tak ślicznie wyglądałaś...

Wtulila się w jego ramiona i zaczęła delikatnie całować, ciągle jeszcze wytracona z równowagi widokiem samolotów i myślą o ogromnym oceanie. Chciała się kochać i zapomnieć o wszystkim innym.

Kolację zjedli w restauracji z widokiem na operę i przystań promów przy Circular Quay, potem obejrzeni musical: lekki, wyrafinowany, świetnie wystawiony. Następnego dnia rano usiedli do śniadania na werandzie pensjonatu. Po śniadaniu popłynęli promem do Manly, mijając po drodze wielkie statki handlowe, lśniące białą pasażerskie liniowce i kolorowe żagłówki. W Manly zjedli lunch: libańskie falafele i lody na deser.

Po południu obejrzeni gmach opery, historyczną dzielnicę Rocks, która zachowała jeszcze coś z atmosfery pierwszej fali osadnictwa, wieczorem wybrali się na kolację do Chinatown, po kolacji poszli na spacer do Darling Harbour i wrócili wodną taksówką na Cremorne Point, przepływając pod przęsłami budzącego trwożny podziw mostu Harbour. Minęli Kirribilli Point z dwoma wspaniałymi, posadowionymi wśród ogrodów budowlami, Admiralty House i Kirribilli House.

- To chyba najpiękniejszy port na świecie - rzekła Candace, kiedy wysiedli z taksówki na nabrzeżu Cremorne i ruszyli wysadzaną figowcami ulicą w stronę pensjonatu.

- Mieszkańcy Sydney na pewno tak uważają - przytaknął Steve.

- Myślisz, że jakiś inny może się z nim równać?

- Hongkong, Vancouver, Nowy Jork...

- Nie wiedziałam, że tyle podróżowałaś.

- Lubię podróże. Niedługo chciałbym się wybrać do Stanów.

Candace czuła, że ta od niechcienia rzucona uwaga była zaproszeniem do poważniejszej rozmowy. Wstrzymała oddech, czekała. Atmosfera wyczekiwania, świadomość, że obydwójmy myślą o tym samym, że szukają właściwych słów, wszystko to było gęste od nie wyartykułowanych znaczeń, niemal nie do zniesienia.

Dotarli właśnie do pensjonatu, o tej porze już zamkniętego. Zaczęli szukać klucza i właściwy moment minął.

O dziesiątej rano w Royal North Shore Hospital Candace zrobiono biopsję. Doktor Strickland wyjaśnił, co już i Candace i Steve wiedzieli, że test jest w stanie wykryć właściwie wszystkie nieprawidłowości w układzie chromosomów, nawet te najrzadsze.

- Naprawdę należy się obawiać tylko zespołu Downa, bo zdarza się najczęściej - mówił doktor Strickland. - W pani wieku... - zajrzał do karty - ryzyko poronienia w wyniku testów jest takie samo jak ryzyko urodzenia dziecka z zespołem Downa. Chcecie się państwo jeszcze zastanowić, zanim zaczniemy biopsję? Pomyśleć, jaką podejmiecie decyzję, jeśli wynik będzie niepomyślny?

Candace odruchowo spojrzała na Steve'a. Wziął ją za rękę i poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła. Przyszłość rysowała się niepewnie, dawno postanowili, że nie mają wobec siebie żadnych zobowiązań, ale teraz jest przy niej. Niczego więcej nie mogła pragnąć.

- Ja... - zaczęła z wahaniem i zamilkła, bo Steve ją wyręczył.

- Omówiliśmy wszystko wcześniej - powiedział. - Obydwoje jesteśmy lekarzami i zdajemy sobie sprawę z konsekwencji.

- Jesteśmy zdecydowani na test - podjęła Candace. Asystentka posmarowała podbrzusze Candace żelem i wyregulowała obraz na monitorze ultrasonografu.

- Oto i dziecko - rzekł po chwili doktor Strickland. - Bardzo ruchliwe. Kopie!

Steve i Candace wstrzymali oddech.

Strwożeni cudem nowego życia?

Ona tak. Nie wiedziała, co czuje Steve. Nie odrywała wzroku od monitora, ale czuła uścisk spoczonej dłoni przyjaciela.

- Etap rozwoju dziecka zgadza się z datami, które pani podała, doktor Fletcher. Jenny, spróbuj pokazać nam kręgosłup - poprosił położnik.

Znowu zapadła cisza przerywana tylko stukiem klawiszy klawiatury komputera.

- O, dobrze. Zatrzymaj.

- Co teraz oglądamy? - zapytał Steve niespokojnie. Candace też czuła niepokój. Myślała, że szybko zacznie się biopsja, chociaż przyglądanie się dziecku miało w sobie coś magicznego. Za kilka miesięcy poczuje, jak kopie i wierzga. A przez tyle lat była pewna, że nigdy już nie doświadczy tego uczucia.

- Mówicie, że obydwójecie jesteście lekarzami. Wiecie coś na temat położnictwa?

- Niewiele - odrzekł Steve za oboje. - I tylko teoretycznie.

Candace zaczęło mocniej bić serce. Nie знаła się na niuansach rozwoju płodu, ale doskonale wiedziała, jak zachowuje się lekarz, kiedy nie jest do końca zadowolony z wyników badań.

- Jakiś problem? - zapytała niespokojnie.

- Nie, tego bym nie powiedział - odparł doktor Strickland ostrożnie.

- Zobaczył pan coś, co budzi pana wątpliwości - nie ustępowała. Zdała sobie sprawę, że jej nalegania opóźniają tylko ewentualne wyjaśnienia. - Przepraszam. Proszę mówić.

- Przyglądam się skórze - odsunął delikatnie asystentkę i sam usiadł przy klawiaturze. - Widzi pani, tutaj. - Wskazał fałd na karku.

- Widzimy - odpowiedział Steve. - O co chodzi? Czy coś jest nie w porządku?

- Zgrubienie skóry na karku, na tym etapie rozwoju płodu może wskazywać na zespół Downa - padły złowieszcze słowa.

Candace poczuła falę gorąca, zaraz potem lodowate zimno. Wiedziała o tym, ale nie myślała, że może chodzić o jej dziecko. Dobry Boże!

Będę cię kochała pomimo wszystko. Będziesz ze mną. Nie pozwolę ci odejść...

- Może wskazywać - powtórzył Steve. - Nie jestem w stanie myśleć zbyt jasno. Zechce pan operować faktami.

- Powiedziałem, może wskazywać, ale nie musi. O niczym nie przesądza. - Doktor Strickland zaczął wyjaśniać problem w fachowym żargonie, który dla Candace był w tej chwili jednym bełkotem. Zakończył, mówiąc, że jeśli wahali się, czy przeprowadzać test, ta informacja powinna ich ostatecznie przekonać.

- Nie wahaliśmy się - oznajmił Steve grobowym głosem. - I nadal nie mamy wątpliwości. Moja bratowa kilka miesięcy temu urodziła dziecko z zespołem Downa, które zmarło po kilku godzinach.

- To musiała być dla nich tragedia - przyznał Ian Strickland - ale nie dopatrywałabym się żadnych korelacji.

- Owszem, według wiedzy medycznej - zachnął się Steve. - W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Może mi pan wierzyć, że istnieje korelacja emocjonalna.

- Jestem to w stanie zrozumieć - przyznał doktor Strickland.

Zachowywał się jak lekarz z podręczników: odpowiednio opanowany, odpowiednio współczujący. Candace zachowywała się podobnie, kiedy musiała przekazać pacjentowi złą wiadomość. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo ludzie muszą ją czasami nienawidzić. Muszą nienawidzić wszystkich lekarzy, to łączy się z naszym

zawodem. Ten człowiek budzi we mnie wstręt, a przecież to nie jego wina.

Odchrząknęła z wysiłkiem.

- Pozostaje więc przeprowadzić test i czekać na wyniki - powiedziała. - Nie ma sposobu, żeby wcześniej się czegoś dowiedzieć?

Na litość boską! Przecież wiem, że nie ma. Kochanie, nie chcę, żebyś miał Downa...

- Obawiam się, że nie. Musimy czekać - przytaknął lekarz.

- W takim razie proszę zaczynać - zażądała nienaturalnie wysokim głosem.

Poczuła, że Steve mocniej ściska jej dłoń. Doktor Strickland znieczulił Candace, wprowadził igłę do macicy, pobrał płyn z łożyska, po czym wstrzyknął ją do małej fiolki i pokazał przyszłym rodzicom.

- Ładna próbka - oznajmił. - Wszystkiego się z niej dowiemy. Nie muszę pobierać drugi raz, gdybym musiał, pojawiłoby się ryzyko poronienia i trzeba by się dobrze zastanowić. Tu nie ma takiej potrzeby. Przez najbliższą dobę może pani odczuwać skurcze mięśni podbrzusza. Proszę się nie przejmować. Proszę dużo leżeć, jeśli dzięki temu miałyby pani czuć się pewniej, ale to niekonieczne.

- Zamierzałam leżeć - rzekła Candace.

- Proszę odpocząć kilka minut. Nie musi pani zrywać się od razu. Nie będę w tej chwili potrzebował tego gabinetu.

- Prawdę mówiąc, muszę się zerwać. Zrozumiał bez dalszych tłumaczeń.

- Toalety są za zakrętem korytarza, po lewej.

- Dziękuję.

Kiedy wróciła do gabinetu, Steve ciągle siedział nieruchomo na krześle koło stołu zabiegowego.

- Chcesz się położyć? - zapytał, ściskając jej dłoń.

- Na pięć minut. Boli mnie podbrzusze i mam skurcze macicy.

Pomógł jej wejść na stół. Asystentka wyszła, pomrukując:

- Życzę powodzenia.

- Może położysz się na boku? - dopytywał się Steve.

- Uhm.

- O, teraz dobrze. - Stał koło stołu i delikatnie masował jej plecy. - Leż jak długo chcesz.

Milczała. Czowała się ociężała, odrętwiała i zupełnie bezbronna. To nieprawda. Nie wiedzą na pewno, że z dzieckiem dzieje się coś złego. Tragedia Helen i Matta to zupełnie coś innego. Istniało jednak niebezpieczeństwo, już nie abstrakcyjne obliczenia statystyczne, ale „wskazanie”, zgrubienie skóry na dwucentymetrowym karku płodu.

Ból i smutek. Ta ciąża od początku nie była prosta, teraz komplikowała się jeszcze bardziej.

Nie chcę, żebyś miało Downa, moje maleństwo...

Przy tym nikła, niemniej realna możliwość poronienia. Pełne niepokoju czekanie na wyniki badań. Świadomość, że w najgorszym razie trzeba będzie podjąć decyzję. Bolesną, odmieniającą życie decyzję, która będzie dotyczyła wielu osób. W głębi serca podjęłam już decyzję, ale wiem, że żyć z nią nie będzie łatwo.

Jutro przylatuje Maddy, za dwa tygodnie pojawi się moja niezawodna matka. Candace miała wrażenie, że wobec tych wszystkich wydarzeń związek ze Steve'em, „przelotny romans”, który zaczynała z wiarą w jego siłę terapeutyczną, gdzieś się zatracą.

Nachylił się i przytulił policzek do jej policzka.

- Tak mi przykro - szepnął. - Tak strasznie mi przykro, Candace.

I to wszystko.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maddy przyleciała zgodnie z rozkładem. Za dziesięć siódma rano następnego dnia jej samolot wylądował na lotnisku w Sydney.

Tuląc córkę, Candace wypowiedziała największy banał, jaki można sobie wyobrazić.

- Urosłaś.

Maddy przewróciła oczami i jęknęła.

- Nic lepszego nie przychodzi ci do głowy?

- Daj mi trochę czasu. Przygotowuję wielkie przemówienie. - Zerknęła na wózek z bagażami. - Chryste, przywiozłaś aż trzy walizki? Na cztery tygodnie?

Maddy wzruszyła ramionami, nie stropiona. Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie mogłam się zdecydować, to wzięłam wszystko, co się zmieściło.

Kiedy szły do wyjścia, cały czas trajkotała o bagażu, o locie. Minęła chwila, zanim Candace zdołała przedstawić jej Steve'a, który roztropnie nie narzucił swojej obecności.

Candace była zdenerwowana, żałowała teraz, że nie powiedziała Steve'owi wprost: Nie chcę, żaby Maddy dowiedziała się o naszym związku. Ale chyba rozumiał to bez ubierania w słowa?

Problem w tym, że wielu rzeczy nie ubierali w słowa. Miniony dzień przepelnięny był lękiem, Steve wydawał się nieobecny. Kiedy wrócili do pensjonatu, pomógł jej położyć się do łóżka, zamienili zaledwie parę zdań.

Jak ktoś równocześnie może być tak czuły i tak daleki? Przyniósł jej do pokoju lunch przygotowany przez właścicieli pensjonatu, Joy i Kevina Bradleyów, po czym wyszedł na całe popołudnie, zostawiając ją samą, by odpoczęła. Nie powiedział, gdzie idzie.



Był na zakupach, jak się później okazało. Kupił Candace w prezencie drogą, złotą bransoletę wysadzaną australijskimi opalami.

- Steve... - wykrztusiła ze łzami w oczach. Kiedy poruszała nadgarstkiem, młeczne kamienie rozpały się purpurowym i błękitnym blaskiem.

- Nic nie mów. To niewiele, ale chciałem. Cholera, musiałem ci ją dać.

Nie zdejmowała jej przez resztę dnia, teraz też miała ją na ręku.

Wieczorem zjedli w swoim pokoju jakieś włoskie dania na wynos i oglądali telewizję.

- Tak mi głupio, że źle się czuję. Popsułam ci krótki urlop - usprawiedliwiała się Candace.

Dzisiaj rano trudno jej było wstać. Musieli się spakować i zdążyć na czas na lotnisko. Niewiele rozmawiali. Candace cały czas pogryzała krakersy i popijała wodę. Od wielu dni nie czuła takich nudności.

Powinam była powiedzieć mu wprost: nie chcę, żeby Maddy dowiedziała się o nas. Dlaczego? Czy wstydzę się tego, co nas łączy? Przecież nie!

- Maddy, to jest doktor Colton. Był taki miły, że zaofiarował się przywieźć mnie na lotnisko, - Nie wspomniała, że przyjechali do Sydney przed trzema dniami. Po chwili przypomniała sobie, że w bagażniku tkwią ich torby podróżne. - I... ehm... pokazał mi Sydney.

- Dzień dobry, doktorze Colton.

- Mów mi Steve.

- Czy ja też będę mogła zobaczyć Sydney?

- Innym razem, kochanie. Teraz musimy wracać do Narralee.

Maddy wzruszyła ramionami.

- Może jak przyjedziemy po babcię. - Ziewnęła szeroko. - Zresztą i tak powinnam się przespać.

Spała prawie przez całą drogę. Nie zatrzymali się ani razu, żeby coś zjeść i rozprostować nogi. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Taylor Beach i szeroko otworzyła usta na widok domu Candace.

- Mieszkasz na plaży, mamó! Ale jazda! - Zaraz buzia się jej wyciągnęła. - Szkoda, że tu jest teraz zima. Jak to, zima? To dlaczego jest tak ciepło?

- Pływać w oceanie można przez cały rok - pocieszył ją Steve.

- Jak kto - wtrąciła Candace, przypominając sobie opory Doreen w tej kwestii.

- Ale jazda! - powtórzyła Maddy i wbiegła na schody, Steve tymczasem wyjmował bagaże.

Stała na tarasie, kiedy zbierał się do odjazdu. Zerknął w jej stronę, upewnił się, że zapatrzyła się w ocean i dopiero wtedy dotknął lekko ramienia Candace.

- Kiedy się zobaczymy? - zapytał cicho.

- Ja... nie zastanowiłam się.

- Maddy za kilka godzin padnie ze zmęczenia. Może wpadnę wieczorem?

- Dobrze.

Nie chciała, żeby zabrzmiało to zbyt skwapliwie, nie chciała też wystraszyć go miną numer trzy: „Musimy porozmawiać”. Potrzebowała jego obecności.

- Zatem do zobaczenia wieczorem. - Raz jeszcze spojrzął w stronę Maddy i szybko pocałował Candace. Kiedy zbiegł ze schodów, miała ochotę pobiec za nim.

Trochę ku własnemu zaskoczeniu spędziła wspaniałe popołudnie z córką. Maddy nie była już tą samą nieznośną, ciągle naburmuszoną, najeżoną i mnożącą żądania smarkulą, którą Candace zostawiła w Bostonie. Być może trzy miesiące

spędzone z Toddem i Brittany pozwoliły docenić jej zalety matki.

Cokolwiek odmieniło Maddy, Candace nie mogła się dość nacieszyć jej towarzystwem. Chciała, żeby tak było zawsze, żeby zawsze tak potrafiły cieszyć się sobą.

Pofolgowała córce tego popołudnia. Pojechały do supermarketu i wybrały ulubione jedzenie Maddy. Potem zajrzały do butiku, kupiły bikini i kapelusz z szerokim rondem. Nawet uwaga dotycząca kostiumu, najbardziej skąpego i najdroższego, została wypowiedziana przez Candace półzartem i przyjęta przez Maddy z beztroskim uśmiechem.

Po powrocie do domu wybrały się na spacer po plaży. Kupiły sobie ogromne porcje lodów i cały czas gadały.

Było tak dobrze, tak dobrze... Wracały wspomnienia wszystkich minionych chwil, które Candace spędziła z Maddy od momentu jej przyjścia na świat. Ile by dała, aby jeszcze raz przeżyć podobne chwile, urodzić znowu radosne, zdrowe dziecko... ,

Zjadły prostą kolację i o ósmej Maddy była już w łóżku. Candace odczekała pół godziny i już miała dzwonić do Steve'a, gdy usłyszała jego kroki na schodach.

- Maddy dopiero niedawno poszła spać - ostrzegła go z lekkim drzeniem w głosie.

- Światło w jej pokoju jest zgaszone, widziałem, okna wychodzą przecież na ulicę - uspokoił ją Steve. - Dlaczego mówimy szeptem?

Candace wzruszyła nieporadnie ramionami.

- Na wszelki wypadek.

Przygotowała herbatę, Steve tymczasem włączył telewizor.

- Nie lubię nienaturalnej ciszy - powiedział, widząc jej pytające spojrzenie.

- A była nienaturalna?

- Trochę.

- Ja... mam jutro strasznie dużo zabiegów - oznajmiła nie wiedząc czemu rozradowanym tonem. - Jak się pracuje z Colinem Ransomem?

- Powoli. Jest bardzo ostrożny. Doprowadza do szału pielęgniarki, wszystko sprawdza po dziesięć razy. Kilka razy odesłał pacjentów, których do niego skierowałem, pewien, że nie ma żadnego zagrożenia. Ale w końcu jestem anestezjologiem, któremu Eric Kellett omal nie przekręcił się na stole.

- To nie twoja wina. Colin Ransom, przy całej swojej, jak mówisz, ostrożności, też niczego by się nie domyślił, bo na jakiej podstawie? Nie było żadnych przesłanek.

- Czy o tym mamy rozmawiać? - Steve nagle zmienił ton.

- Nie, oczywiście, że nie. Próbowałam tylko zagłuszyć nienaturalną ciszę.

- Przepraszam, chyba się wygłupiłem. Jak się czujesz?

- A jak myślisz? Steve pokręcił głową.

Cisza. Tym razem boleśnie naturalna. Nie było nic do powiedzenia. Nic, co mogłoby przynieść ulgę.

Co zrobimy, jeśli...? Co będziemy czuli, jeśli...?

Steve z pewnością myślał o Helen i Matcie, ale ich sytuacja była zupełnie inna. Co nie znaczy łatwiejsza czy trudniejsza. Takich porównań nie sposób przeprowadzać. Inna.

Byli ze sobą od lat trwale związani, mieli trójkę zdrowych dzieci. Ominął ich czas wyczekiwania w niepewności na wyrok. Nie musieli podejmować decyzji. Pozostał im tylko żal i ból po stracie dziecka. Wspólna żałoba.

- Pooglądajmy telewizję - rzeki w końcu Steve, choć od piętnastu minut obydwójce drętwo wpatrywali się w ekran.

Objął Candace i położył sobie jej głowę na ramieniu, jakby miał do czynienia z przysypiającym dzieckiem. Candace próbowała cieszyć się tą chwilą intymności, ale nie potrafiła.

- Pocałuj mnie - szepnął i nachylił głowę. - Proszę, Candace. Chciałbym zanurzyć się w tobie i zapomnieć.

Candace objęła go za szyję i przyciągnęła bliżej, jak on szukając zapomnienia.

- Och! - Z korytarzyka prowadzącego do sypialni doszedł stłumiony okrzyk. Candace podniosła głowę i zobaczyła uciekającą Maddy. W sekundę później drzwi od jej pokoju zamknęły się z głuchym trzaskiem.

- Cholera! - zaklął Steve.

- Ona widziała tylko... - zaczęła Candace.

- Widziała twoją rozpiętą bluzkę, moje dłonie, zamknięte oczy. Wystarczy. Nie chciałaś przecież, żeby się dowiedziała - Steve bardziej stwierdził niż zapytał.

- Nie - przytaknęła, nie wdając się w wyjaśnienia, bo nie były potrzebne. - Mogło być gorzej. Mogła zobaczyć nas...

- Ma piętnaście lat, wyobraźnię i dostatecznie duże pojęcie o seksie. Nie musi widzieć wszystkiego.

- Powinna chyba...

- Tak, idź do niej, porozmawiaj. Powiedz jej, co chcesz, o nic nie będę miał pretensji. To twoja sprawa.

- Dzięki. Jakoś sobie poradzę.

- Pójdę już, Candace. - Wstał i dotknął lekko jej ramienia.

- Daj mi znać, czy... jesteśmy w opałach czy może.

- W opałach? Masz czasem dziwne podejście do świata.

- Przy jakiej okazji ono się objawiło?

- Daj spokój. - Pokręciła głową. - Nie zwracaj uwagi.

Moja wina.

Chciała, by już wreszcie wyszedł. Nie mogła odżalować, że zgodziła się na jego wizytę. Jego obecność, zamiast pomagać, zaczęła ją przytłaczać.

- Idź już, Steve. Proszę.

- Oczywiście, Candace.

Nie zdążył jeszcze zejść ze schodów, a już pukała do drzwi Maddy.

- Mogę wejść, kochanie?

Żadnej odpowiedzi. Usłyszała tupot bosych stóp i drzwi się otworzyły.

- Mogłaś mi powiedzieć, że z nim sypiasz! - Maddy stała w progu, blokując wejście do pokoju.

Candace nie próbowała się bronić. Maddy miała rację.

- Powinam?

- A jaki miałaś plan? Żebym was zobaczyła?

Nie miałam żadnego planu, chociaż powinnam. Myślałam o zupełnie innych sprawach, o których na razie nie mogę ci powiedzieć. Dopóki...

- Przepraszam.

- Uważasz, że to wystarczy? - W głosie córki zabrzmiał oskarżycielski ton.

Gdzie się podziała serdeczna, przyjacielska Maddy, z którą spędziła popołudnie? Zniknęła. Nie bez powodu.

- Nie, nie wystarczy - przyznała Candace - ale co mogę ci powiedzieć? Naprawdę przepraszam, że dowiedziałaś się o mnie i Stevie w ten sposób.

- Co jest grane? Kiedy zaczęliście się spotykać? Nie wspominałaś o nim w e - mailach i rozmowach telefonicznych. Jest dla ciebie kimś ważnym, czy to tylko romans? Taka przelotna przygoda, żeby zapomnieć o tacie? To Australijczyk, a ty za kilka miesięcy wrócisz do Bostonu.

Bombardowana pytaniami, które sama zadawała sobie od wielu tygodni, Candace straciła panowanie nad sobą.

- Nie mów do mnie w ten sposób - rzuciła cierpko.

- Nie miałam prawa wiedzieć, tak? A jak ty byś się zachowała, gdybyś zobaczyła mnie na wpół rozebraną, migdałącą się z jakimś facetem na kanapie?

- Masz prawo zadawać pytania - przyznała Candace - ale nie tym tonem. Nie twierdzę, że potrafię na nie odpowiedzieć. W każdym razie nie na wszystkie.

- No więc co masz mi do powiedzenia?.

Candace miała wrażenie, że stoi na brzegu skalnego wzniesienia, które kruszy się jej pod stopami.

- No więc... - Wzięła głęboki oddech. - Spotykamy się już od jakiegoś czasu.

- I poszłaś z nim do łóżka na pierwszej randce?

- Dość tego! Usiłuję rozmawiać z tobą jak z rozumnym człowiekiem. Pozwól mi przynajmniej dojść do słowa. Spotykamy się od jakiegoś czasu i nie wiem, dokąd nas to zaprowadzi. Może to „przelotna przygoda”, jak to określiłaś. Byłam... Byłam wykończona psychicznie po rozwodzie z twoim ojcem i... ciągle nie potrafię myśleć jasno. Dociera?

- Będzie tu zostawał na noc w czasie mojego pobytu? - napierała Maddy, ignorując prośby matki o zrozumienie i jej próby wyjaśnienia sytuacji. - Mam słuchać, jak się kochacie? Gwizdać, śpiewać, tupać, zanim wejdę do domu, bo moja matka znalazła sobie faceta? Jezu, a ja przyjechałam tutaj, żeby uciec od czegoś takiego.

- Ja... nie wiem! - krzyknęła Candace i rozplakała się.

Maddy zaklęła pod nosem, nieporadnie otworzyła ramiona i przytuliła matkę. Candace przepraszała, tłumaczyła, że chciała powiedzieć, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

- Chcesz wyjść za mąż, mieć faceta na stałe, czy co? - dopytywała się Maddy, zdradzając, jak bardzo jest jeszcze dzieckiem. - Babcia nie wyszła po raz drugi za mąż.

- Babcia miała sześćdziesiąt cztery lata, kiedy umarł twój dziadek. To pewna różnica, nie sądzisz? Poza tym od śmierci

dziadka minęły dopiero cztery lata, wszystko się jeszcze może zdarzyć.

- Pewnie tak - przyznała Maddy ugodowo. - Nie psuj mi tylko wakacji, proszę. Tak na nie czekałam.

- Nie zepsuję ci wakacji - przyrzekła Candace, myśląc jednocześnie, że składa obietnice, które nie wiadomo czy będzie mogła wypełnić.

- I jak? - zapytał Steve bezgłośnie.

- Marnie... Witaj, Marion. Spokojnie tu dzisiaj. - Candace musiała szybko zmienić ton i wyraz twarzy.

- Obyś nie zapeszyła! - zawołała Marion Lonergan, siostra oddziałowa na nagłych wypadkach.

- Skończyłem. - Steve wręczył Marion wypełnioną kartę choroby. - Jeśli nie uda się go położyć na oddziale, daj mi znać, dobrze?

Candace uśmiechnęła się automatycznie. Nie interesował jej nowy pacjent i problemy z miejscem na oddziale. Chciała porozmawiać ze Steve'em w cztery oczy, ale chyba wybrała nie najlepsze miejsce. Miał tu dzisiaj dyżur, a ona przerwę między zabiegami.

- Miała pretensje? - zapytał Steve, kiedy tylko Marion Lonergan wyszła z gabinetu.

- Miała pretensje, zachowywała się egoistycznie, wyrzucała mi, że jej o niczym nie powiedziałam i że będzie miała zepsute wakacje. Było w tym jednak sporo racji. Dla dzieciaków w jej wieku to żenująca sytuacja. W domu miała Todda i Brittany, nie mogła z nimi wytrzymać. Po powrocie chce przeprowadzić się do mojej matki i chyba się na to zgodzę. Uwielbiają się. Powinnam była pomyśleć, jak wybrnąć z sytuacji, ale wizyta u Stricklanda zupełnie wytrąciła mnie z równowagi i... - Poczowała znajomy ucisk w gardle.

- Może zrobimy przerwę? - zasugerował Steve.



- Przerwę? - powtórzyła bezmyślnie.

- Przestaniemy się spotykać, jeśli uważasz, że to dla niej może być trudne - wyjaśnił łagodnie, jakby rozmawiał z dzieckiem.

- Tak. Rozumiem. - Oparła dłoń o blat biurka i usiadła powoli. Nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa. - Tak, tak będzie najprościej.

- Za dwa tygodnie przylatuje twoja matka, po jej przyjeździe sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej i...

- Tak - powtórzyła, przerywając tłumaczenia Steve'a. - Rozumiem, co masz na myśli. Zróbmy sobie przerwę.

- To lepsze, niż spotykać się ukradkiem, szukać wymówek, kręcić. Dotąd robiliśmy wszystko, żeby nikt się nie dowiedział.

- Dobrze! Przecież nie próbuję z tobą dyskutować. Przestań już mi wyliczać wszystkie racjonalne powody, Steve.

- Przepraszam.

- Chryste, czy my się ciągle musimy przeproszać? Syknęła, wstając. Nie odprowadził jej do drzwi. Może bał się, że będzie to wyglądało zbyt ostentacyjnie, może miał inny powód? Nie potrafiła powiedzieć.

Po powrocie na blok operacyjny podniosła słuchawkę, wystukała kilka cyfr na chybił trafił, rozłączyła się i powiedziała różnym głosem:

- Tak, czekam.

Siedziała tak przez chwilę, wsłuchując się w sygnał. Potrzebowała chwili, by się opanować, zanim zacznie następny zabieg. Czekały ją jeszcze trzy operacje. Pielęgniarki nadal sprzątały salę i przygotowywały na przyjęcie następnego pacjenta, który czekał już na wózku w holu.

Nie mogę! Nie chcę! Dlaczego Steve to powiedział?

Przerwa? Teraz? Kiedy może się okazać, że dziecko ma zespół Downa? Kiedy przez najbliższe trzy tygodnie będę

musiała żyć w niepewności? Potrzebuję Steve'a. Oboje się potrzebujemy. Widocznie on myśli inaczej albo po prostu chce przeczekać wizytę Maddy i mamy.

Boże, tak się cieszyłam na ich przyjazd. Tak bardzo chciałam zobaczyć Maddy, a teraz wołałabym, żeby jej tu nie było. Zaczynam liczyć dni. Nie! Nie chcę, żeby wyjechała. Chcę mieć ich oboje. Maddy i Steve'a.

Do diabła, ty idiotko, zakochałaś się w nim, prawda?

Miała wrażenie, że te słowa płyną z zewnątrz, że wypowiedział je ktoś inny.

Zakochałam się w nim. Nie byłam gotowa na coś takiego, a jednak się zdarzyło. Czy to dlatego, że noszę jego dziecko? Nie. Niezależnie od tego czułabym to, co czuję.

Nie będziemy się widywać aż do wyjazdu mamy i Maddy.

A później? Kto to wie?

Może w ten sposób chce skończyć naszą znajomość? Chce mnie przygotować, żeby potem powiedzieć mi, że to już koniec. Nagle wszystko ułożyło się w wyrazisty, jednoznaczny obraz. Milczenie Steve'a, jego dystans, nieobecny wyraz twarzy. Droga bransoleta, którą dostała od niego w prezencie.

Nie miała jej dzisiaj na rękę, przeszkadzałyby jej w czasie zabiegów. Leżała w szufladzie komody. Schowała ją tam pieczołowicie wczoraj wieczorem, przed pójściem spać. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że podświadomie potraktowała prezent jako dowód miłości, znak dzielonych przez oboje niepokojów, symbol tego wszystkiego, co zbyt trudno było wyartykułować w słowach. Być może bardzo się pomyliła.

Być może wcale nie był to dowód miłości, tylko prezent pożegnalny, preludium do rozstania. Być może Steve poczuł, że dłużej już nie może z nią być. Zostanie sama...

- Biedactwo, ciągle czekasz na połączenie? - zagadnęła Robyn Wallace, podchodząc do biurka.

Candace drgnęła.

- Och, tak... Spróbuję zadzwonić później. Pacjenta wwieziono już do sali, zespół czekał tylko na Candace. Zapomniała, że dzisiaj jest inny anestezjolog. Steve miał rację, Colin Ransome był bardzo wolny. Przyzwyczajona do bostońskich profesjonalistów, siłą powstrzymywała się, żeby go nie popędzać. W sali panowała napięta atmosfera.

- Dobrze się czujesz? - zapytała ją Doreen.

- Dobrze. Jestem tylko trochę zmęczona. Byłam taka przejęta przyjazdem Maddy, że całą noc nie zmrużyłam oka - skłamała gładko.

Ile razy, wobec ilu osób będzie jeszcze musiała kłamać w najbliższych tygodniach?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Z czym przychodzisz, Andrea?

Steve nie mógł się skupić na pracy. Dręczyły go wyrzuty sumienia, męczyła tęsknota, nie potrafił sobie poradzić z własnymi odczuciami. Jeśli właśnie to Matt miał na myśli, mówiąc, że powinienem „spoważnieć”, niechby zachował swoje rady dla siebie! Nie nadaję się na „poważnego” człowieka. To naprawdę nie jest zabawne. Dzień w dzień ta sama męka. Od początku coś mi mówiło, że trzeba postępować ostrożnie, ale zlekceważyłem te ostrzeżenia. I wpakowałem się.

Uwiodły mnie zmęczone, smutne oczy Candace. Jej ciało, jej słodki głos. Rozmowy z nią, przekomarzania.

A teraz czuję się fatalnie.

- Przenoszę się do Sydney - mówiła Andrea. - Po tym, co zdarzyło się w marcu, pomyślałam, że powinnam zrobić dokładne badania kontrolne, zanim wyjadę.

- Bardzo rozsądnie. - Pamiętał, że Candace usunęła jej łagodny guz przy okazji resekcji wyrostka robaczkowego. - Powinnaś znaleźć sobie dobrego lekarza domowego, kiedy już urządzisz się w Sydney. Mogę ci polecić kilka nazwisk.

- Nie wiem jeszcze, w jakiej dzielnicy będę mieszkała. Jadę trochę w ciemno.

- Nie masz pracy?

- Nie, ale przy mojej znajomości komputera na pewno coś znajdę.

Steve zaczął rutynowe badanie: zmierzył ciśnienie, osłuchał płuca, zmierzył puls, zadał kilka podstawowych pytań, wziął wymaz z pochwy, co Andrea potraktowała zupełnie naturalnie, a co dla wielu kobiet było niezwykle krępującą procedurą.

- Dokuczają ci blizna po operacji? - zapytał, kiedy Andrea, już ubrana, wróciła z pokoju zabiegowego.

- Czasami trochę swędzi, to wszystko. Karina mówi, że czuje to samo, ale ona ma dzięki swojej operacji dziecko. - Andrea zaśmiała się gorzko. - Dlatego chcę się przenieść do Sydney - ciągnęła.

- Ze względu na Karinę i zamieszanie wokół dziecka?

- Mam już dość. Karina jest w porządku, nie wytyka mi, że ja też powinnam mieć dziecko, ale wszyscy dookoła... Chcę stąd uciec. Zamieszkać gdzieś, gdzie nie będę słyszeć takich uwag.

- Rozumiem.

Rozumiem lepiej, niż myślisz. Ja też chciałbym uciec, poczuć się inaczej. Pomyślał, że Andrea może teraz żałować, że powiedziała za dużo. Szybko zmienił temat.

- Zadzwoń w przyszłym tygodniu, żeby dowiedzieć się o wynik cytologii. Na nic się nie uskarżasz?

- Czuję się świetnie. Jeśli uda mi się urządzić w Sydney...

- Powodzenia. Na pewno usłyszę od Kariny, jak sobie radzisz.

Steve przyjmował do szóstej. Wyszedł z gabinetu śmiertelnie wyczerpany. Nie fizycznie, bo to uczucie akurat lubił, ale psychicznie. Emocjonalnie. A przecież to dopiero pierwszy dzień pracy po weekendzie.

Od testu Candace upłynął tydzień. Jeszcze dwa tygodnie czekania na wyniki. Pięć dni od momentu, kiedy zasugerował, żeby przestali się chwilowo spotykać.

Bardziej chodziło mi o nią czy o samego siebie? Byłem pewien, że robię to ze względu na nią, ale może się oszukiwałem? Może nie potrafię sobie dać rady z własnymi wyrzutami sumienia?

Wyrzuty sumienia. To jego prezerwatywa okazała się zawodnym zabezpieczeniem. Powinien był od razu powiedzieć jej, że coś było nie w porządku, że wyczuł pęknięcie w cieniutkim lateksie. Nie był do końca pewien.

Jeśli rzeczywiście pojawiło się pęknięcie, musiało być bardzo małe. Co miał zrobić? Obejrzeć gumkę przez lupę? Zachować się jak neurotyk?

To tragedia, która zdarzyła się w jego rodzinie, przesądziła o tym, jak oboje przyjęli obawy doktora Stricklanda. Dla wielu rodzin zespół Downa nie był koszmarem nie do zniesienia, żyły szczęśliwie, otaczając chore dziecko miłością. Matt i Helen też poradziliby sobie, gdyby mały Robbie przeżył. Był jednak zbyt słaby i rozważania, jak żyć dalej, znowu obróciły się w abstrakcję.

Zacząłem na nią krzyczeć, kiedy zapytała, co myślę o testach. Przypomniałem jej, co przeżyli Matt i Helen, zmusiłem ją, żeby o tym myślała.

Biegł brzegiem oceanu, jakby chciał wyrzucić z siebie dręczące go problemy. Teraz zwolnił, zaczął iść. W miarę jak szedł, z daleka dostrzegł między drzewami migocące światła domów. Chłodny wiatr kołysał gałęziami.

Rozpoznawał światła w domu Candace. Zwykle oszczędzała prąd, ale Maddy była widać bardziej beztroska, bo wszystkie okna były jasno oświetlone. Mógłby ją polubić, gdyby miał szansę lepiej ją poznać. Była teraz w najgorszym wieku, najeżona, zbuntowana. Minie kilka lat, zanim stanie się bardziej dojrzała. Candace musi brać pod uwagę jej reakcje.

Siłą powstrzymał się, by nie zapukać do ich drzwi. Ustalili przecież z Candace, że zrobią „przerwę”. Żałował teraz, że użył tego niefortunnego określenia. Candace nie próbowała nawet dzwonić. Tak bardzo chciał usłyszeć jej głos. Tak bardzo! To nie musiałyby być długa rozmowa. Kilka słów: „Żyję jeszcze”.

Wiedział, że Candace żyje! Jutro zobaczy ją podczas operacji. Nie chciał jednak, by widywali się wyłącznie w sali operacyjnej. Zaproponował „przerwę”, żeby nie komplikować

relacji Candace z córką. Myślał o niej, nie o sobie. Nie sądził, że będzie mu jej brakowało aż tak bardzo.

- Użyję siatki. Popatrz, tutaj mięśnie też są bardzo osłabione. Jeśli ich nie wzmocnimy, za kilka miesięcy przepuklina pojawi się po drugiej stronie.

- Wszystko będzie dobrze, panie Gatto, ale musimy porozmawiać o pana pracy - przemówiła Candace do uśpionego pacjenta.

Oraz o pana nawykach i nadwadze, pomyślał Steve. Arno Gatto ważył sto czterdzieści trzy kilogramy. Trzeba było użyć odpowiednio zwiększonej dawki narkozy, a i tak czekali długą chwilę, zanim potężny pacjent zamknął wreszcie oczy i zapadł w narkotyczny sen.

Pracował w miejscowym tartaku, często dźwigał ciężkie deski, lecz nie był w dobrej formie. Dużo palił, mimo że wszyscy mu radzili, by przynajmniej przed operacją zrezygnował z papierosów.

- Zabieg potrwa trochę dłużej, niż zakładaliśmy - uprzedziła Candace. - Mamy podręcznikowy przykład przepukliny? Jak to szło w piosence z „Oklahomy”: „Wyskakuje, dokazuje...”?

Steve uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. Wtorki były dla niego wyczekiwany dzień tygodnia.

Candace inaczej się zachowywała w sali operacyjnej niż kilka miesięcy temu. Nadal nie pozwalała puszczać płyt, nie akceptowała plotkowania przy stole, ale zamieniała każdą operację w pouczające doświadczenie, a w każdym jej ruchu, w nachyleniu głowy, w sposobie, w jaki sięgała po instrumenty, było coś niemal artystycznego.

Steve często łapał się na tym, że wpatruje się w nią jak zaczarowany.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Peter Moody, lekarz pacjenta, który uczestniczył w operacji.

- Mam zamiar zilustrować powiedzenie „przezorny zawsze ubezpieczony” i wzmocnić osłabione mięśnie, tu, po drugiej stronie. Pacjent wytrzyma, Steve?

- Wytrzyma. Dostał wystarczającą dawkę narkozy.

- Pat, uprzedź, że następny zabieg zaczniemy nie wcześniej niż... - zerknęła na zegar ścienny - o dwunastej. Wzmocnimy podbrzusze, a potem przykleimy panu plaster antynikotynowy. Nie chcemy chyba, żeby pozrywał pan moje ładne szwy, prawda, panie G.? Teraz rozumiem, co ma na myśli moja córka, kiedy męczy ją kaszel w czasie przeziębienia.

- Nie rozśmieszaj mnie, Fletcher - jęknął Steve i ich oczy spotkały się na chwilę.

- Krew pociemniała, Steve - Candace zmieniła ton. - Jak wygląda poziom tlenu?

- Trochę za niski - odrzekł z pozornym spokojem i zwiększył dopływ tlenu.

- Temperatura?

- Normalna. Praca serca normalna.

- Jezu, jak długo będziemy pamiętać Erika Kelletha?

- Doreen wypowiedziała na głos to, o czym wszyscy pomyśleli. - Mało prawdopodobne, żebyśmy tak szybko natknęli się na kolejny przypadek hipertermii.

- Owszem - zgodziła się Candace.

- W medycynie rachunek prawdopodobieństwa nie ma żadnego znaczenia - zauważył Steve.

- Są ludzie, którzy raz za razem wygrywają na loterii

- wtrącił Peter. - W swojej ocenie stanu pacjenta nie brałem pod uwagę podwójnej operacji, Candace.

- Wiem, ale lepiej zrobić to teraz, niż gdyby miał do nas trafić za kilka miesięcy. Wiem, co robię, Peter. Jeśli coś zacznie się z nim dziać, mów od razu, Steve.



Prawie kończyli, kiedy serce pana Gatto przestało pracować i na monitorze pojawiła się płaska pozioma linia.

W sali mieli potrzebną aparaturę i wszyscy natychmiast podjęli przypisane sobie role tak sprawnie, że Steve z dumą patrzył na zespół - jeśli w ogóle miał czas patrzeć.

Pierwszy elektrowstrząs nic nie dał.

- Spróbujcie jeszcze raz - rzucił krótko.

Przy drugim zwiększyli woltaż i tym razem serce zareagowało. Krzywa na monitorze, w pierwszej chwili nierówna, szybko się ustabilizowała.

- Dobrze, znowu oddychamy - mruknęła Candace, a Steve podał pacjentowi środki podtrzymujące.

Po operacji szukał wzrokiem Candace, zastanawiając się, gdzie mogła pójść. Miał ochotę odnaleźć ją, ale musiał czuwać przy panu Gatto, dopóki nie wybudzi się z narkozy.

Czy obwiniła się za ten fatalny incydent? Miała rację, decydując się na podwójny zabieg. Wykonała go szybciej, niż Harry Elphick przeprowadzał zwykłą operację przepukliny, szczególnie w ostatnim czasie przed odejściem na emeryturę.

Dokąd mogła pójść?

Tak bardzo chciał z nią porozmawiać. Ostatnio, kiedy ledwie uratowali Erika Kelletta, był jej potrzebny, widział to w jej oczach. Tym razem, podczas następnego zabiegu, nie spojrzała na niego ani razu.

Tego wieczoru na krok nie ruszył się z domu, a przygotowując sobie jajecznicę na kolację cały czas nasłuchiwał, czy nie odezwie się telefon. Nie wziął prysznicą w obawie, że może nie usłyszeć dzwonka.

Kiedy wreszcie telefon zadzwonił, okazało się, że to tylko Helen: chciała zaprosić go na rodzinny obiad w sobotę. W końcu wybrał się do kina na film, którego wcale nie chciał obejrzeć. Uznał, że skoro Candace nie zadzwoniła do

dziewiątej, już nie zadzwoni. Nie zamierzał cały wieczór tkwić przy telefonie niczym zadurzona nastolatka.

Jeśli Candace go nie potrzebuje, trudno. Jeśli zawodzi go intuicja co do jej uczuć, drugie trudno.

Miał serdecznie dość wszystkiego.

Czy to oznacza, że się wycofuje? Że chce zapomnieć o Candace, ich dziecku, ich związku bez zobowiązań?

Nie. Nie, nie zamierzał się wycofywać i Candace miała się o tym wkrótce dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Tak mi głupio, że nie zaprosiliśmy cię wcześniej. Tyle dla nas zrobiłaś, kiedy Terry był na stypendium w Bostonie.

- Daj spokój, Myrno. Naprawdę nie powinnaś się tłumaczyć.

Siedzieli na tarasie z widokiem na rzekę. Terry przygotowywał grill. Słońce grzało zupełnie nie jak w zimie. Na przyjęciu u Davisów zebrało się około dwudziestu osób, panował ożywiony, wesoły nastrój.

- Chemioterapia jest męcząca, ale już wiem, kiedy czuję się dobrze i jak mam organizować sobie czas.

- Dbasz aby o siebie?

- Nie mam wyboru. - Myrna zaśmiała się. - Już przyzwyczaiałam się do miski koło łóżka i sterty chusteczek. Jakoś znoszę leczenie.

- Biedactwo!

Candace współczuła Myrnie tym bardziej, że jej obecna sytuacja też była nie do pozazdroszczenia. Czuła się w ostatnich dniach wyjątkowo źle, chociaż minął właśnie trzynasty tydzień ciąży, kiedy następuje stabilizacja hormonalna i większość kobiet zaczyna czuć się lepiej.

Wiedziała, że na jej samopoczucie mają wpływ stres i zmęczenie. Źle sypiała, czekała w napięciu na wyniki testu. Dbiała o to, by Maddy dobrze się bawiła, co też wymagało pewnego wysiłku. Nie zawsze miała po pracy ochotę na kino czy wyprawę do centrum handlowego.

Bardzo pomocne okazały się dzieci Lindy Gardner. Richard miał siedemnaście lat, Julia była o kilka miesięcy młodsza od Maddy. Candace zaprosiła ich w poprzedni weekend do domu na pizzę i lody; obydwoje przyprowadzili swych przyjaciół. To zadziwiające, jaki bałagan potrafi zrobić kilkoro nastolatków, nawet jeśli się dla nich nie gotuje kolacji, ale było warto zorganizować spotkanie. Dzisiaj dzieci Lindy

ze swoimi przyjaciółmi pojawiły się na grillu u Davisów i Maddy praktycznie nie rozmawiała z nikim innym.

O jedno zmartwienie mniej.

Co nie oznaczało ulgi, bo w umęczonym umyśle Candace natychmiast rozgościł się Steve Colton.

Rozpierał się właśnie na ogrodowym krześle Davisów. Wyciągnął nogi przed siebie, dłonie zaplótł na karku.

Bez troski?

Zamknął oczy, wystawił twarz na promienie popołudniowego słońca. Opalony, wolny, nieśmiertelny.

Przyjrzała mu się uważniej i zauważyła głęboką zmarszczkę na czole, nieznaczne drgnienia powiek. Próbował wprawić się w bez troski nastrój, ale wcale nie był, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka, bez troski.

On jest ze mną, przynajmniej jeśli chodzi o dziecko i jego zdrowie. Pomoże mi.

Jak, jeśli będzie nas dzieliło dziesięć tysięcy mil?

To nie jego wina, że się w nim zakochałam. Tego nie było w umowie. Naruszyłam zasady.

Czy poczuł, że Candace go obserwuje? Uniósł powieki, usiadł prosto i osłonił oczy przed słońcem. Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnął się jakoś dziwnie, a ona nie bardzo wiedziała, jak zinterpretować ten uśmiech. Jej serce wykonało dziwne salto. A może to żołądek? Którykolwiek był to organ, zasługiwał na złoty medal na najbliższej olimpiadzie, bo trenował zawzięcie.

- Kiełbaski i steki już gotowe - zawołał Terry. - Szaszłyki będą za chwilę. Częstujcie się. Sałatki są na stole.

Candace podniosła się i wzięła talerz, nie pozwalając Myrnie wokół siebie skakać. Okropnie się czuła w roli gościa honorowego. Wszyscy musieli porządnie zgłodnieć, bo przy grillu ustawiła się już kolejka z dziećmi na czele. Candace nie musiała się odwracać, bez tego wiedziała, że za nią jest

Steve. W chwilę później obydwójce znaleźli się przy stole sałatkowym. Kiedy wyciągnął rękę, by nałożyć sobie coleslawę i przy okazji otarł się o jej ramię, domyśliła się, że zrobił to umyślnie. Jakby chciał jej powiedzieć: Jestem tutaj, nie zniknąłem.

Miała ochotę powiedzieć, owszem, wiem, tylko że ja chcę teraz czegoś więcej. Czy rzeczywiście?

Usłyszała śmiech Maddy, była w nim pewność siebie, ale i coś dziecinnego.

- No wiesz, Richard! To okropne!

Czego chcę? Moje życie jest gdzie indziej, nie tutaj. Tam mam swoją pracę, swoją praktykę, swój zespół. Dobrą pensję, duży dom, który Todd w całości scedował na mnie w czasie rozvodu. Co najważniejsze, tam mam przyjaciół, którzy są mi bliscy, matkę, którą kocham, i córkę, która rozjaśnia moje życie. Czy miłość do Steve'a miałaby oznaczać wyrzeczenie się tego wszystkiego? Miałabym zostać w Australii, gdyby mnie o to poprosił?

Miłość...

Kierowałam się odruchem. Potrzebą. Pewne sprawy były od początku absolutnie jasne i oczywiste, inne się skomplikowały. Drobne, trywialne kwestie, takie jak cała moja przyszłość.

- Czy Terry i Myrna pokazali ci już swój ogród? - zagadnął Steve „oficjalnym” tonem, którego używał, kiedy ktoś mógł słyszeć ich rozmowę.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedziała w ten sam sposób. Ciekawe, czy działał mu na nerwy tak samo jak on

mnie? Jej odpowiedź była zbyt uprzejma, głos zbyt wysoki, on mówił z przesadnym australijskim akcentem, jak samotny wilk z interioru, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy wdawać się w romanse ze starszą od siebie kobietą.

Boże, problem różnicy wieku! Do tej pory w ogóle się nad nim nie zastanawiała, wydawał się zupełnie nieistotny wobec całej reszty, ale może okazać się poważną przeszkodą dla obojga, przekreślić wspólną przyszłość, jeśli w ogóle można mówić o wspólnej przyszłości.

Kobiety dojrzewają wcześniej niż mężczyźni, i co z tego? Ona żyła i cierpiała, patrząc na powolny rozpad swojego małżeństwa. Przeżyła gorycz zdrady, rozwód. Doświadczyła radości i lęków macierzyństwa. Teraz Steve staje wobec własnych lęków, związanych z ojcostwem. Ma trzydzieści trzy lata, może nie jest gotów na podjęcie takiej odpowiedzialności?

- Zjedz lunch, potem oprowadzę cię po ogrodzie - zaproponował.

- Cudownie - zagruchała nienaturalnie słodkim głosem. Nie miała już ochoty na jedzenie, ale wmusiła w siebie sałatkę i kawałek mięsa, popiła podanym przez Steve'a sokiem, po czym, ze szklankami w dłoniach, ruszyli w głąb ogrodu. Steve opowiadał o klombach, tarasach, parterach i typowych dla Australii roślinach. Candace obejrzała się za siebie, ale Maddy nie zauważyła, że matka odeszła.

- Na końcu ogrodu jest ławka ze wspaniałym widokiem na rzekę - powiedział Steve w jakimś momencie.

- Chyba powinniśmy wracać.

- Ja nie chciałem...

- Wiem - skinęła głową. - Zgodziłam się przecież. Nie musisz się tłumaczyć.

Doszli do ławki, ale nie usiedli. Candace odstawiła pustą szklankę na murek. Stąd w dół prowadziły kamienne schodki do pomostu, przy którym stała zacumowana motorówka.

- Miło tutaj - bąknęła, opierając dłoń o słupek lampy ogrodowej.

- Nie dzwonisz do mnie. Minęło jedenaście dni, a ty nie zadzwoniłaś ani razu.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona oskarżeniem. Krew uderzyła jej do głowy.

- Ja nie dzwonię?

- Tobie jest łatwiej.

Steve swoim zwyczajem założył ręce na piersi. Miała ochotę dotknąć jego ramienia, poczuć pod palcami mocne mięśnie, lecz widziała, że jest zirytowany. Promieniował złą aurą, która powstrzymywała ją przed czulszym gestem. Nigdy go jeszcze takim nie widziała.

- Ja nie wiem, czy nie odbierze Maddy. Ty mogłabyś zadzwonić, kiedy nie ma jej w domu. Wiesz, że mieszkam sam. Możesz dzwonić do mnie o każdej porze. Ale nie zadzwoniłaś.

- Sam zaproponowałeś „przerwę” - powiedziała bezradnie. - Nie wiedziałam, że czekasz na mój telefon.

- Przerwa nie oznacza chyba milczenia? - rzucił gniewnie.

- Nie? Sam odpowiedz na to pytanie.

- No więc nie oznacza.

- Inaczej cię zrozumiałam.

- Źle zrozumiałaś. - Steve zaklął pod nosem.

- Myślisz, że jest mi łatwo. Zostałam zupełnie sama ze swoimi problemami. - Podniosła głos. - Czekam i umieram ze strachu. Udaję, że nic się nie dzieje, robię wszystko, żeby Maddy miała miłe wakacje. Czuję się jak ogłupiała przedszkolanka. Hej - hop, teraz będziemy się bawić! Tymczasem miałabym ochotę schować się w mysia dziurę i wyczołgać się, kiedy już będzie po wszystkim. - Głos jej się załamał. - Jedyne, z którą mogłabym się podzielić moimi lękami, oznajmia mi, że musimy zrobić „przerwę”. Myślałam, że tego właśnie chcesz - powtórzyła.

- Nie, Candace. Do diabła, nie chciałem zrywać z tobą kontaktu. Nie uciekam od ciebie.

- Powinieneś powiedzieć to wyraźnie.

- Teraz mówię wyraźnie.

- W porządku... - Skinęła nieznacznie głową.

- Czy to wystarczy?

- Skoro proponujesz...

- Jestem z tobą. Jestem ojcem naszego dziecka. To chyba oczywiste.

- Tak. Chociaż trudno na tym etapie mówić o ojcowskich obowiązkach, prawda?

Nie wiedziała, dlaczego go odpycha. Może odezwał się instynkt obronny? Zachowywała się nielogicznie. Ciągłe nie mogła ochłonąć po jego, nieoczekiwanym ataku, zaczynała jednak rozumieć powody, którymi się kierował.

- O czym ty mówisz, Candace? - zachnął się. - Co to znaczy „na tym etapie”? Dziecko jest tak samo realne dla mnie jak dla ciebie.

- To niemożliwe. Nie czujesz tego co ja. Nie możesz.

Nigdy nie miałeś dziecka. W każdym razie nigdy nie wspominałeś o dziecku. Może masz dziecko, gdzieś daleko?

- Ejże! - Steve chwycił ją za ramiona. - Co jest, do diabła?

- Ty zacząłeś. Te twoje pretensje o brak telefonów... Jakbym specjalnie chciała zadać ci ból.

- Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem. Ale, cholera, nie masz racji, Candace. Nie przyszło ci do głowy, że mnie może być jeszcze trudniej niż tobie? Właśnie dlatego, że nigdy nie miałem dziecka, że nie chodzi o moje ciało? Jestem zupełnie bezsilny. Nie mogę nawet, jak ty, poklepać się po brzuchu, żeby powiedzieć o swojej miłości. Nic nie mogę zrobić poza trzymaniem się z boku, czekaniem i liczeniem, że może jednak zadzwonisz. Wiesz, co to znaczy dla mężczyzny,



kiedy nie jest w stanie nic zrobić? I ty mi mówisz, że tobie jest trudno?

Pokręcił głową, wsunął ręce do kieszeni i zaczął chodzić po niewielkim tarasie. Nie patrzył na Candace. Czy wiedział, że ona cały czas mu się przygląda? Zamrugła gwałtownie, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Czy to już koniec? Rozstajemy się? Zostanę sama?

Zatrzymał się w końcu.

- Mamy się rozstać? - wykrztusiła.

- Rozstać? - powtórzył głucho. - Na Boga, nie! Przytulił ją, zanim zdążyła zaprotestować, i ukrył twarz na jej ramieniu. Gładził ją po włosach, a potem zaczął całować, gorąco, niecierpliwie.

- Tego mi było trzeba! - szepnął.

Jej też. Potrzebowała obecności Steve'a, jego pieszczot, cichych słów, brzmienia głosu. Nikogo innego. Tylko jego. Był inny. To, co czuła, było inne od doznań, które dawał jej Todd. Lepsze. Bardziej intensywne. Magiczne.

- Mówisz z taką pewnością - odszepnęła.

- Jestem pewien. Myślisz, że odwróciłbym się od ciebie z powodu głupiej sprzeczki?

- To nie była głupia sprzeczka. Obydwoje powiedzieliśmy sporo przykrych rzeczy.

- Obydwoje żyjemy ostatnio w napięciu. - Steve wsunął dłonie pod spódnicę Candace, dotykał jej nagich ud.

- Co to jest „to”, czego ci było trzeba? Opuścił dłonie, stał teraz nieruchomo.

- To, co mamy.

- Co mamy? - Candace wzięła głęboki oddech,

- Dlaczego mam odpowiadać na twoje pytanie? - rzucił ze zniecierpliwieniem. - Akurat teraz? A ty potrafiłaś odpowiedzieć? Mamy siebie, mamy dziecko, które być może

będzie potrzebowało szczególnej opieki. Mamy nasze światy na dwóch różnych półkulach.

- Tak, i...

- I pomimo wszystko mamy to. To! Nie wiem, co to jest. Jeśli potrafisz to nazwać, zamieniam się w słuch.

- Ja... nie potrafię - przyznała.

- Zatem nie oczekuj odpowiedzi ode mnie. Nie wiem, co będzie za godzinę, co zdarzy się jutro. Nie potrafię sięgać myślą poza datę wyniku testów. Ty potrafisz?

- Nie, ale podjęłam decyzję.

Odsunęła się o krok, wysoko uniosła głowę i czekała, by zapytał, co to za decyzja.

Nie zapytał. Patrzył na nią przez chwilę bez słowa, wreszcie pokiwał powoli głową. Poszła za jego wzrokiem i zrozumiała, że nie musiał pytać. Jej gest był wystarczająco czytelny. Nieświadomie położyła dłoń na brzuchu. Chroniła ich dziecko i nadal miała zamiar je chronić, cokolwiek się wydarzy. Czy będzie chronić je sama? Tego żadne z nich nie wiedziało.

Byłam szalona, jeśli myślałam, że uda mi się odejść od niego po roku, zabierając ze sobą wspomnienia, niby stos albumów fotograficznych. Nawet gdybym nie zaszła w ciążę, nie byłabym w stanie tego zrobić. Nawet jeśli wyniki badań będą tak niepomysłne, że każą nam podjąć decyzję o aborcji, nie zapomnę. Razem je poczęliśmy, razem trwamy w niepewności.

- To, co mówiłeś o niedzwonieniu - zaczęła.

- Może byłem niesprawiedliwy - przyznał.

- Czy się kontaktujemy, czy nie, czuję się z tobą związana. Jesteś blisko. Wiem, że myślisz o naszych problemach, że nie sypiasz po nocach, podobnie jak ja.

- Następnej bezsennej nocy przyjdź pod mój dom i rzuć kamykiem w okno. Będę czekał - zakpił.

- Może po prostu zapukam do drzwi? - Śmiech Candace zabrzmiał jak szloch.

- Wszystko jedno. Potrzebuję cię, Candace. Nie potrafię zdefiniować tego uczucia, wolę unikać kwantyfikatorów, ale wiem jedno: potrzebuję cię.

W nocy, kiedy Maddy spała już w najlepsze, Candace wymknęła się do Steve'a. Kochali się w salonie, przy akompaniamencie jakiegoś gniotowatego filmu sprzed pięćdziesięciu lat, nadawanego w kinie nocnym. Mówili sobie to samo co zawsze, potem napili się gorącej czekolady i długo siedzieli przytuleni do siebie. I tylko to naprawdę się Uczyło.

Elaine West była jedną z ostatnich pasażerek, która pojawiła się w sali przylotów. Jak zwykle nieskazitelna, od małych brylantowych kolczyków po włoskie pantofelki. Przy swoich sześćdziesięciu ośmiu latach, w czarnych spodniach, jedwabnej bluzce, wytwornym zakiecie, z doskonale dobraną apaszką na szyi, była najbardziej elegancką kobietą, jaką Candace знаła.

- Lot wcale nie był taki straszny - oznajmiła, kiedy już się wyściskały. - Trzeba tylko trochę zdrowego rozsądku. Musisz pić dużo płynów i od czasu do czasu przespacerować się po kabinie. Bardzo dobrze, że w ostatniej chwili zdecydowałam się dopłacić do pierwszej klasy - zakończyła z niepewnym uśmiechem, kiedy Candace gotowa już była pomyśleć, że jej matka jest jakąś nadludzką w swojej doskonałości istotą.

- Nie musisz więc odpoczywać w hotelu w Sydney, zanim ruszymy do Narralee - rzekła Candace z przekorą i poczuła żelazny uścisk matczynej dłoni na nadgarstku.

- Kochanie, muszę odpocząć w hotelu. W porządnym hotelu. Żadnych okropnych pensjonatów, które tak lubisz. Chcę poczucia anonimowości, dobrej obsługi, żadnych narzutów z patchworku. To mam w domu.

Candace uśmiechnęła się szeroko.

- Nie martw się, wszystko już załatwione. Od wczoraj mieszkamy z Maddy w porządnym hotelu.

- Spodoba ci się, babciu. Mamy apartament na dziewiętnastym piętrze - wtrąciła Maddy.

Im dalej od ziemi, tym lepiej. Taką zasadę wyznawała Elaine.

- Pojedziemy tam od razu?

- Tak.

- Tobie też przyda się trochę odpoczynku. - Matka zmierzyła Candace krytycznym spojrzeniem: twarz bez makijażu, dzinsy, które włożyła na drogę i nie zmieniła na coś bardziej eleganckiego, włosy ściągnięte do tyłu i niedbale spięte kłamrą. - Wyglądasz okropnie - oznajmiła na wypadek, gdyby jej spojrzenie i mina miały nie okazać się dość wymowne.

- Źle spałam w nocy. Poduszki w hotelu są dla mnie za twarde - skłamała Candace. Mogła mieć tylko nadzieję, że Maddy, jak każda nastolatka nie odznaczająca się szczególną spostrzegawczością, nie ocknie się i nie uświadomi sobie, że matka od chwili jej przyjazdu kiepsko wygląda i zupełnie o siebie nie dba.

- Hm - mruknęła Elaine. - Jak tylko przyjedziemy do hotelu, poprosimy, żeby dali nam inne. Schudłaś.

- Prawda? Bardzo się cieszę. - Candace próbowała zamienić utratę wagi w swój sukces. - Mieszkam niemal na plaży, nabieram kondycji.

Na szczęście Elaine oszczędziła jej dalszych uwag i zwróciła się do wnuczki:

- Maddy, kochanie, weźmiesz walizkę? Nie jest ciężka. Mam w niej drugą, na zakupy. Pójdziemy po południu na zakupy, prawda?

Po pierwszych trudnych minutach wszystko jakoś się ułożyło. Po powrocie do hotelowego apartamentu Maddy

usiadła przed telewizorem, Candace „wypróbowała nowe poduszki”, a Elaine zabrała się za rozpakowywanie walizki. Po wykwintnym wczesnym lunchu, który zjadły u siebie na górze, wybrały się na poważne zakupy.

Elaine zawiodła się, licząc, że córka będzie jej przewodnikiem po sklepach. Widząc, że Candace nie ma pojęcia, co polecić, sama przejęła inicjatywę. Przeliczyła ceny na dolary amerykańskie i wszystko według niej kosztowało grosze. Wróciły do hotelu o czwartej po południu tak obciążone, że zamiast jednej dodatkowej walizki Elaine musiałaby mieć trzy, żeby zapakować swoje australijskie zdobycze.

- Zrobisz paczki i wyślesz mi do Bostonu - stwierdziła beztrąsko.

Po dwóch godzinach rzetelnego odpoczynku wybrały się na kolację do obrotowej restauracji na szczycie Centrepoint Tower. Przez wzgląd na matkę Candace zrobiła makijaż, włożyła pantofle na wysokim obcasie, zaplotła włosy we francuski warkocz, pomyślała nawet o biżuterii i po raz pierwszy od kilku tygodni poczuła się wreszcie dobrze.

Znowu patrzyła na świat optymistycznie. Była bezpieczna. Elaine West tak działała na ludzi.

A może tajemnica tkwi w tym, że jest moją matką i że nigdy, przez te wszystkie lata, mnie nie zawiodła.

- Tak się cieszę, że tu jesteś, mamó - szepnęła, kiedy jechały windą do restauracji, i objęła matkę serdecznie.

- Później porozmawiamy, kochanie. Wszystko mi opowiesz. - Candace natychmiast przypomniało się dzieciństwo i ten sam kojący głos, który mówił: „Już dobrze, Candy, skarbie. Mama pocałuje i zaraz przestanie boleć”.

Elaine doskonale wiedziała, że chodzi o coś więcej niż hotelowe poduszki, ale ta świadomość zamiast przyprawiać o lęk, dodawała Candace otuchy. Po raz pierwszy od ponad

dwóch miesięcy jadła z apetytem i jedzenie smakowało jej tak, jak smakować powinno.

Maddy rozpierała energia. W czasie kolacji oświadczyła, że następnego dnia zamierza wejść na Harbour Bridge.

- Richard Gardner opowiadał mi, że trzeba się wspinać trzy godziny. Niesamowite!

- Harbour Bridge? - zapytała Elaine. - Ten wielki, sławny most blisko miejsca, gdzie kupowałyśmy opale? Nie mówisz chyba poważnie!

- Dają ci taką specjalną uprzęż i przypinają do liny. Nie można spaść. Babciu, to przecież straszny odjazd...

- Mamo... - szepnęła Candace, stwierdzając, że w oczach Elaine pojawiło się podniecenie. Niedobrze.

- Och, chodźmy! Wszystkie trzy. Muszę spróbować. Jeśli tego dokonam, to znaczy, że stać mnie na wszystko.

- Ale żeby wspinać się na most...

- Nie masz chyba lęku wysokości?

Nie. Jestem w ciąży. Nawet jeśli pozwalają wspinać się na most kobietom w ciąży, nie czułabym się bezpiecznie.

- Przez cały czas miałabym ochotę trzymać Maddy za kołnierz, jak trzymałam ją, kiedy była mała i próbowała chodzić po różnych murkach - wykręciła się Candace.

- No to zostań w hotelu - przystała Elaine skwapliwie, po chwili wiele mówiącego milczenia. - Albo usiądź sobie w kawiarni opery i obserwuj nas przez lornetkę. My w każdym razie idziemy, prawda, Maddy?

- Jesteś cudowna, babciu.

- Pewnie będę się trochę bała. Musisz mnie pilnować, kochanie, dobrze?

Powinnam była wiedzieć, że wszystkiego się domyśliła, miała powiedzieć sobie potem Candace. Zbyt dobrze grała rolę gotowej na każdą przygodę babci...

- Chcesz zacząć opowiadać od początku, czy mam zadawać pytania? - Elaine pojawiła się w saloniku apartamentu następnego ranka o wpół do siódmej, w chwilę po tym, jak Candace wyszła ze swej sypialni. Maddy jeszcze spała.

- Już zadałaś pytanie.

- Zadzwonimy do obsługi? Zjemy ciepłe śniadanie?

- Dwa kolejne pytania.

- Powinnaś dobrze się odżywiać. Maddy zamówi sobie później, na co będzie miała ochotę.

- Właściwie to jestem głodna.

Głodna jak wilk! Jajka, bekon, kiełbaski, pomidory z grilla, trzy kubki białej kawy bezkofeinowej i sześć grzanek z pełnoziarnistego chleba.

Wzięła do ręki kartę i zaczerwieniła się pod baczynym spojrzeniem matki.

- Czy to to, o czym myślę? - zapytała Elaine.

- To zależy, o czym myślisz.

- Nie chcę nic mówić, bo mogę się mylić, ale... - zaczęła wyliczać na palcach - wyglądasz na wyczerpaną, pijesz kawę bezkofeinową, wczoraj nie zamówiłaś wina, koktajlu, nie wypiłaś nawet łyka szampana, a kiedy powiedziałaś, że nie zamierzasz wchodzić na most...

Candace wyciągnęła się na kanapie z menu w dłoni.

- Nie mylisz się.

- Która pierwsza ma to powiedzieć?

- Ty, mamó.

- Jesteś w ciąży, tak?

- Tak - przytaknęła z wysiłkiem.

- Ciągłe masz nudności?

- Nie, teraz mam wilczy apetyt.

- Zatem...

- Tak. To stało się prawie zaraz po przyjeździe tutaj. Uważaliśmy, a jednak stało się. Niedostatki technologii.

- Widujesz się z nim nadal? Maddy coś by powiedziała.

- Miała pretensje. Ze względu na nią przestaliśmy się widywać. Po jej... po waszym wyjeździe... Nie wiem, dlaczego wmawiałam sobie, że niczego się nie domyślisz, ale tym razem przerosłaś samą siebie, mamó. Jesteś jasnowidzem.

- Nie jestem jasnowidzem, Candy. Po prostu myślę o tobie i potrafię dostrzec, co się dzieje.

- Po twoim wyjeździe, nie wiem, jak się dalej potoczy.

- O to chodziło, żebyś przeżyła wspaniałą przygodę w czasie pobytu tutaj, kochanie, ale...

- Tropnęłam się, że taki miałas plan.

- Tropnęłaś się?

Candace wzruszyła ramionami.

- Takie słówko. Zamierzam importować je do Bostonu.

- Miałam plan, ale nie aż tak dalekosiężny.

- My nie...

- Wiem, nie planowaliście tego, niemniej...

- Byłam taka szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam.

- Bo byłaś w nim zakochana. Candace pokręciła głową.

Dwa razy.

- Nie. Ja jestem w nim zakochana. Zamilkła. Pierwszy raz powiedziała to głośno.

- Jestem w nim zakochana - powtórzyła. - I jestem szczęśliwa, że będę miała dziecko. Zawsze chciałam mieć jeszcze jedno. Zrezygnowałam ze względu na Todda.

Elaine rzuciła pod adresem Todda epitet, za użycie którego Maddy dostałaby od Candace przynajmniej tygodniowy szlaban.

- Ale widzisz, mogą być problemy, mamó. - Candace nie potrafiła mówić zbornie. - Zrobiłam badania. Boję się Downa.

- Och, Candy!



- W przyszłym tygodniu będą wyniki, wtedy wszystkiego się dowiemy.

- Mówisz, my.

- On nie odwróci się od dziecka. Nie wiem, jak się dalej ułoży, ale w najgorszym razie będzie nas odwiedzał, przysyłał prezenty, domagał się zdjęć.

- Myślisz, że może odwrócić się od ciebie? Jako kochanek?

- Na samym początku powiedziałam mu, że nie chcę żadnych zobowiązań, że to ma być tylko przygoda. - Zaśmiała się. - Dlaczego to powiedziałam?

- Żeby potem zmienić zdanie?

- Kiepsko, prawda?

- Wbrew powszechnie przyjętemu mitowi, mężczyźni też czasami zmieniają zdanie, skarbie. Gdyby on zmienił zdanie i poprosił, żebyś tu została, zostaniesz? Kochasz go na tyle?

- A co z Maddy? Jest jej źle z Toddem i Brittany. Co z tobą?

- Tu cię boli! Co z Maddy i co ze mną? Zamieszkamy razem w Nowym Jorku choćby jutro, jeśli to ma pomóc.

- Byłaby szczęśliwa. Jej ojciec mniej.

- Jej ojciec będzie musiał połknąć tę żabę. Pytanie, czy ty byś tego chciała?

- Moja praca w Bostonie...

- Nie myśl o swojej pracy. Czy wyniki testu coś zmieniają? Czy potrafisz oddzielić relacje tego człowieka z dzieckiem od waszych relacji? Powtarzam, czy kochasz go na tyle, żeby wszystko podporządkować uczuciu?

- Ja... nie wiem.

- No to musisz trochę popracować głową. Candace przytaknęła w milczeniu. Elaine podeszła do kanapy i uwolniła ją wreszcie od ściskanego w dłoniach menu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Pokaż mi plażę, Maddy - zażądała Elaine tonem starszej pani, która nie toleruje sprzeciwu. - Mama tyle godzin siedziała za kierownicą, że powinna zostać na chwilę sama i trochę odpocząć.

- Robi się ciemno, babciu.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Dobra, mam nadzieję, że mnie nie zabije. Ledwie zamknęły za sobą drzwi, Candace wystukała numer Steve'a. Po to przecież Elaine wyciągnęła Maddy na spacer.

- Przyjdiesz? - zapytał od razu.

- Hm, nie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jutro z samego rana zadzwonię do Stricklanda. Powinien mieć już wyniki.

- Chcesz, żebym był przy tym?

- Chyba tak.

- Chyba?

- Chcę, oczywiście, że chcę. Nie chcę tylko...

- Do niczego mnie zmuszać, jasne? Skąd zamierzasz dzwonić? Z domu? Z gabinetu?

- Z gabinetu.

- Dziwne. Właśnie pomyślałem, że powinien jutro do ciebie zajrzeć, żeby skonsultować się w sprawie jednej z moich pacjentek.

- Bardzo dobrze. Gillian nie będzie o nic pytać, a Linda w poniedziałki rano nie przyjmuje.

- Na pewno nie chcesz, żebym wpadł do ciebie teraz?

- Mama i Maddy niedługo wrócą ze spaceru.

- Chciałbym poznać twoją matkę.

- Nie dzisiaj, Steve. - Była zbyt zdenerwowana, żeby tego wieczoru aranżować spotkanie.

Następnego ranka Steve pojawił się w gabinecie w chwilę po Candace, ale spotkali się na próżno. Nie zastali doktora

Stricklanda, a recepcjonistka, która odebrała telefon, nie potrafiła nic powiedzieć na temat badań.

- Doktor oddzwoni do pani, jak tylko będzie miał wyniki - obiecała solennie.

- Zna numer mojego pagera? Numer telefonu do szpitala?  
- dopytywała się chora z niepokojem Candace.

- Zapiszę obydwu - oznajmił pełen cierpliwości głos.

- Nic? - upewnił się Steve, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Nic. - Wzruszyła ramionami.

- Zadzwoń do mnie natychmiast, jak tylko będziesz coś wiedziała. Będę czekał. I zamierzam zobaczyć się z tobą wieczorem. Maddy może wierzgać, jeśli ma ochotę.

- Nie będzie. Mama potrafi osadzić ją w miejscu, jest w tym naprawdę dobra.

- Przyjdźcie do mnie na kolację.

- Nie, nie.

Powiedziała to może zbyt szybko, ale nie zniosłaby napięcia emocjonalnego, które musiałyby się łączyć z takim spotkaniem. Taksujących spojrzeń matki, wrogości Maddy, udawanej swobody Steve'a.

- Ona wie, prawda? - zapytał po chwili. - Twoja matka. Wie, że jesteś w ciąży.

- Chryste, następny jasnowidz.

- Co powiedziała?

- Zachowała się świetnie. Dała mi sporo do myślenia. Steve miał najwyraźniej ochotę zadać jeszcze jakieś pytanie, ale rozmyślił się.

- Pójdę już - mruknął tylko.

Doktor Strickland zadzwonił o czwartej. Candace miała właśnie pacjenta, ale pomimo to kazała Gillian przełączyć rozmowę.

- Mam przed sobą wyniki pani biopsji - zaczął. - Dobre wieści, doktor Fletcher. Bardzo dobre. Nosi pani zdrowe... Chce pani znać płeć dziecka?

- Nie... Tak. Tak!

- To chłopiec. Absolutnie zdrowy pod każdym względem. Zgrubienie skóry na karku nie miało w tym wypadku żadnego znaczenia.

- Dziękuję, bardzo dziękuję, doktorze - wykrztusiła, po czym przeprosiła pacjenta, wybiegła z gabinetu, minęła zdumioną Gillian i zaszła się na końcu korytarza. Dobrą chwilę tam stała, zanim się uspokoiła.

Badanie kontrolne Stana Caldecotta dokończyła jak we mgle. Na szczęście był ostatnim pacjentem tego dnia. Ledwie wyszedł, chwyciła za telefon. Nie zastała Steve'a w jego gabinecie. Spróbowała zadzwonić na komórkę; robił akurat zakupy w supermarkecie.

- Wszystko w porządku - zakomunikowała drżącym głosem. - To chłopiec. Zdrowy. Zupełnie zdrowy.

- Chryste, muszę się z tobą zaraz zobaczyć - zawołał. - Nie wychodź z przychodni. Zaczekaj na mnie. Już jadę.

Ledwie Gillian wyszła do domu, Steve wpadł do gabinetu, chwycił Candace w ramiona i zaczął wirować z nią po pokoju.

- Zwariowałaś! - zaśmiała się głośno. - Kompletnie ci odbiło!

Kiedy trochę ochłonęli, zadzwoniła do matki.

- Możesz odetchnąć i znowu zacząć żyć - powiedziała Elaine.

- Tak właśnie się czuję. Steve jest tu ze mną. Chcemy... Nie wiem jeszcze, co zamierzamy, ale mogę wrócić do domu późno.

- Jeśli wrócisz do domu przed północą, będziesz miała szlaban na tydzień, moje dziecko - zagroziła Elaine.

Nie było obawy. Pojechali na kolację do Braidwood, odległego o godzinę jazdy od Narralee. Nie byli ubrani dość dobrze, by iść do drogiej restauracji, wybrali więc małą knajpkę, w której podawano pyszną pizzę z prawdziwego pieca na drewno. Po kolacji wybrali się na spacer po miasteczku. Oglądali stare budynki, wystawy sklepowe, rozmawiali o polityce, muzyce, podróżach, wreszcie wolni od lęku. Nie musieli już martwić się o dziecko. Ich syn jest zdrowy. Rozproszyły się ponure cienie.

Kiedy zrobiło się chłodno, wrócili do Narralee. Nie musieli nawet ustalać, gdzie Steve ma podjechać. Zaparkował przed swoim domem.

- Mama zabroniła mi wracać do domu przed północą - oznajmiła Candace, kiedy wchodzili po schodach.

- Ułatwię ci to. - Wziął ją w ramiona, zanim jeszcze otworzył drzwi.

Minęło wiele dni, zanim ochłonęła i zawrót głowy zamienił się w spokojne szczęście. Niedługo wszyscy się dowiedzą, że jest w ciąży. Teraz to nie ma żadnego znaczenia. Było jej absolutnie wszystko jedno, jak koledzy skomentują jej stan. Najważniejsze jest zdrowie dziecka.

I reakcja Maddy. Czekwała na odpowiedni moment, by podzielić się nowiną z córką.

Zdecydowała się porozmawiać z Maddy w niedzielny wieczór, w połowie pobytu Elaine. Moment może nie był najodpowiedniejszy, ale minął piętnasty tydzień ciąży i Candace nie mogła czekać dłużej.

Steve zaprosił je na lunch. Przyjechali też Helen i Matt z dziećmi. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, wreszcie Maddy szepnęła do matki:

- Nudzę się, mamó. Te dzieci są słodkie, ale...

- Idź do domu, jeśli chcesz. - Candace wcisnęła Maddy klucze.

Dorośli spędzili w ogrodzie jeszcze godzinę. Matt i Helen od razu przypadli Candace do serca, a kiedy Steve kilka razy ją objął, zrozumieli, że coś go łączy z amerykańską panią doktor. Co?

Maddy przywitała matkę i babkę okropnie naburmuszona. Przy kolacji dała upust swoim żalom.

- Dzwonili do mnie Richard i Julia. Od południa próbowali mnie złapać, tylko że, oczywiście, nie wzięłyśmy ze sobą komórki. Mogłam pójść do nich, ale nie. Musiałam spędzić u Coltona najnudniejsze popołudnie w życiu. Po co tam poszłyśmy? Czemu tak się wdzięczyłaś do tych ludzi?

- Tak? - Candace była trochę zaskoczona.

- Tak, kochanie - przytaknęła Elaine. - Nie martw się, na pewno nic nie zauważyli. My zauważyłyśmy, bo cię znamy. Nie sądzisz, że powinnaś jej powiedzieć? - zapytała, nie zmieniając tonu głosu.

- Co powiedzieć? - ożywiła się Maddy. - Wiem o Stevie, ale myślałam, że posłuchałaś mojej rady i zerwałaś z nim.

- Czy mama zerwała, czy nie, trzeba... - Elaine zamilkła.

- Nie wiem, jak się między nami ułoży w przyszłości - zaczęła Candace, siląc się na spokój. - Nie rozmawialiśmy o tym. Jest jednak powód, dla którego nigdy nie zerwiemy kontaktów. Tak jak nigdy nie zerwę definitywnie kontaktów w twoim ojcem, pomimo rozwodu. Kiedy masz z kimś dziecko, ten człowiek na zawsze już pozostaje w twoim życiu.

- To znaczy... - Maddy zająknęła się, zaczerwieniła, spojrzała na brzuch matki.

- Tak, jestem w ciąży.

- To jest... to! Jak mogłaś? Nie dość, że Brittany... Ona jest przynajmniej młoda. Jezu, ale ryfa! - Maddy pobiegła do swojego pokoju. Trzasnęły zamykane z impetem drzwi.

Pewnego dnia znajdzie bardziej oryginalny sposób wyrażania wściekłości. Znudzi się jej trzaskanie drzwiami, pomyślała Candace.

- Świetnie nam poszło - sarknęła.

- Nie oczekiwałaś chyba innej reakcji?

- Nie, mamó. Ale pomyślałam, że zapyta o kilka spraw, takich jak dzieląca mnie ze Steve'em odległość, moje plany na przyszłość. Tymczasem potrafiła tylko powiedzieć, że jestem stara i że to straszna „ryfa”.

- Teraz przemawia przez ciebie ten sam egoizm co przez nią.

- Bardzo ci dziękuję! Może też powinnam trzasnąć drzwiami. Ty zrób to samo i przestaniemy rozmawiać do końca waszego pobytu tutaj.

- Za tydzień nas nie będzie - pocieszyła ją Elaine.

- Pamiętam i jestem przerażona, bo nie wiem, kiedy znowu was zobaczę. Nic nie wiem.

- Nawet czego chcesz?

- Nawet czego chcę - powtórzyła Candace. - Ani o co mogę prosić. Ciebie, Maddy, Steve'a.

Maddy dąsała się do końca pobytu. Nie miała dla Candace jednego miłego słowa, nie chciała rozmawiać o dziecku, jakby nie istniało. Pożegnała się z matką z ledwie tajoną wrogością.

Po powrocie z lotniska Candace zastała w drzwiach kartkę od Steve'a. „Przyjdź do mnie zaraz. Czekam. S.”.

Nie zdążyła nawet zapukać, kiedy stanął na progu i chwycił ją w ramiona, spragniony jej tak samo jak ona jego. Rozmawiać zaczęli znacznie później. Musieli nacieszyć się sobą, potem zjedli lekką kolację.

- Maddy i mama odleciały bez problemów?

- Tak. Wracając, zatrzymałam się w parku, w którym urządziliśmy sobie piknik, i patrzyłam na ich samolot.

- Założę się, że płakałaś.

- To źle?

- Nie. Tylko wybrałaś miejsce, z którego samoloty wyglądają tak melodramatycznie. Człowiek patrzy na nie i myśli o ogromnych odległościach, które muszą pokonać.

- To są ogromne odległości.

Tyle niewypowiedzianych spraw. Nie podjętych decyzji. Candace niczego tak nie pragnęła w tej chwili, jak tego, by Steve wziął w swoje ręce ich przyszłość. Poproś mnie, żebym została. Nie, powiedz, że mam zostać. Walcz o mnie. Powiedz, że nic innego poza naszą miłością się nie liczy.

- Zostaniesz na noc? - zapytał w końcu, przerywając ciężkie milczenie.

- Nie, chyba nie.

Chciała zostać sama, zastanowić się.

- Bardzo jesteś jutro zajęta? - rzucił od niechcienia.

- Nie wiem jeszcze. Wreszcie podniósł się z łóżka.

- Wpadnę do ciebie wieczorem, Candace.

- Zostawię ci kartkę, jeśli będę musiała wyjść.

Stał bez ruchu na środku salonu i patrzył, jak Candace zamyka za sobą drzwi. Kiedy pytał ją, czy zostanie, chciał opuścić to „na noc”. „Zostaniesz?”, tak to miało zabrzmieć. Nie mógł jej tego proponować. Żyli na dwóch przeciwnych krańcach świata. „Zostań”. Rzuć wszystko i zostań? Nie był aż tak zadufany w sobie. A czy miał dość pokory, by jechać za nią?

„Zostań na zawsze”. Przerazały go te słowa. Spróbował inaczej sformułować swą prośbę: „Potrzebuję cię. Zostań na zawsze”. Nie, ciągle źle to brzmi. Aby powiedzieć coś podobnego, musiałby być absolutnie pewien swojej decyzji. Nie mógł żądać, by poświęciła dla niego całe swoje życie w Stanach, to byłaby niewyobrażalna arogancja.

„Pojadę z tobą”. Też żadne rozwiązanie. Maddy jest w trudnym wieku, a on nie dorósł do tego, żeby być dla niej



dobrym ojczymem. Jeśli chodzi o kwestie zawodowe, przez pierwsze lata stałby w hierarchii medycznej znacznie niżej od Candace. Może nawet początkowo nie pracowałby, tylko siedział w domu i opiekował się dzieckiem? Na to trzeba sporo pokory, a on nie należał do pokornych.

Nie wiedział, czego naprawdę pragnie Candace. Która to godzina? Po dziesiątej. Do diabła, nie powinien puszczać jej do domu. Powinni porozmawiać, wspólnie podjąć jakieś decyzje.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chwycił marynarkę, wybiegł z domu i w tej samej chwili odezwał się pager. Mógł się tego spodziewać. Wzywano go do szpitala. Minęły dwie godziny, zanim mógł się wyrwać.

Po powrocie do domu Candace zrobiła sobie kawę i zabrała się do pakowania zakupów, które Elaine zostawiła u niej, rzucając beztrosko: „Wyślij mi to wszystko pocztą”.

Pakowała i zastanawiała się nad swoją sytuacją.

Urodzić tutaj czy w Bostonie? Biorąc pod uwagę tylko dobro własne i dziecka, zrobiłaby najrozsądniej, gdyby zdecydowała się na poród w Bostonie. Z drugiej strony byłaby to porażka. Klęska.

Nie będę jeszcze podejmowała decyzji. Poczekam.

Nie, to oznaka słabości. Nie może dłużej uzależniać dalszych wyborów od Steve'a. Gdyby mu na niej zależało, nie milczałby, nie trzymał jej w niepewności. Coś by już powiedział.

Było już dobrze po północy, kiedy usłyszała kroki na schodach. Rozpoznała je od razu. Steve.

Czego tu szuka o tak późnej porze? Powiedziała mu przecież, że chce być sama. Nie mówiła, że oczekuje jego pomocy. Sprzeczne uczucia walczyły w niej niczym zwaśnione bliźniaki. Podeszła do drzwi z pamiątkowym kubkiem w dłoni, kawałkiem folii i taśmą do oklejania.

- Myślałem o nas, Candace - zaczął od progu. - Nie masz prawa... - Urwał w pół słowa, zbladł. - Pakujesz się.

- Tak. To dla... Nie dał jej skończyć.

- Nie - syknął przez zaciśnięte zęby.

Wyrwał jej z ręki kubek, taśmę, folię i rzucił na kanapę.

- Nie! Nie masz prawa - powtórzył. - Nie możesz tak wyjechać. W ogóle nie możesz wyjechać.

Chwycił ją za ramiona, ciągle blady, z gorejącymi gniewem oczami.

- Steve, ja...

- Nie możesz wyjechać.

- Nigdzie nie wyjeżdżam - udało się jej w końcu dojść do słowa. - Pakuję zakupy mamy i Maddy. Nie mogły zmieścić wszystkiego w walizkach, muszę im wysłać paczkę.

- Uff! To dobrze - sapnął, jakby nagle uszło z niego powietrze. - Właściwie nie. To niczego nie zmienia. Mój Boże, Candace! Dawno powinniśmy byli porozmawiać. Nie możesz sama podejmować decyzji! - Głos mu złagodniał. - To oczywiście w połowie moja wina. - Objął ją i przygarnął do siebie. - Kocham cię. Jezu, dlaczego dotąd ci tego nie powiedziałem.

- Ja też cię kocham. - Candace łzy napłynęły do oczu. - Kocham cię od... Nie wiem, kiedy się to zaczęło.

- Nieważne. Ja to zrozumiałem dopiero dzisiaj. I tylko to się liczy, że się kochamy. Musimy to sobie powiedzieć.

- Właśnie powiedzieliśmy.

- Codziennie musimy sobie to mówić. Musimy porozmawiać o przyszłości. Kocham cię i chcę być z tobą, Candace,

- Ja też - powtórzyła i przytuliła policzek do jego piersi. - Chcę być z tobą. Chcę stworzyć rodzinę dla naszego synka.

- Tutaj? Chcesz, żebyśmy mieszkali tutaj? To najpoważniejszy problem.

- Gdziekolwiek.

- Gdziekolwiek. To brzmi jak „na zawsze”. Zdajesz sobie z tego sprawę? - zapytał.

- Na zawsze? - Candace ujęła jego twarz w dłonie.

- Jeśli tylko zechcesz. Chcę się z tobą ożenić i przyrzec ci, że będziemy ze sobą na zawsze. I będziemy mieszkać gdzie zechcesz. Gdzie zdecydujemy. Pod warunkiem, że wspólnie podejmiemy decyzję. Dość już zgadywania, co myśli i czego pragnie to drugie.

- Tutaj?

- A co z Maddy?

- Myślałam o tym dzisiaj. Maddy... będzie jej łatwiej, jeśli zostaniemy tutaj. Zamieszka z babcią. Kochają się, świetnie nawzajem rozumieją. Jest mi trudno. Maddy dorasta, a ja ciągle nie mogę się z tym pogodzić.

Steve uśmiechnął się.

- Matki zwykle nie mogą się z tym pogodzić.

- Podobnie było, kiedy miałam tu przyjechać. Trudniej mi było się z nią rozstać, niż jej pomachać mi beztrudnie na pożegnanie. Niedługo skończy szesnaście lat. Babka będzie jej opowiadała o dziecku, o nas. Mnie by nie słuchała, ale słowa babki trafią do niej. Będzie nas odwiedzała, my będziemy jeździli do niej. Będziemy rozmawiać przez telefon. Może to dziwnie brzmi, ale wiem, że będziemy sobie bliższe, niż gdybyśmy wszyscy mieli mieszkać razem.

- Na pewno.

- Kochankowie, małe dziecko i zbuntowana nastolatka? Wyobrażasz to sobie? Kiedy stanie się trochę dojrzała, kiedy okrzepnie, wtedy możemy zamieszkać blisko siebie, żeby mogła zbliżyć się do swojego brata.

- To mi się podoba. Żadnego kategorię albo - albo. Niczego nie musimy przesądzać. Możemy mieszkać tam, gdzie akurat uznamy, że powinniśmy być. To oczywiście wymaga poświęceń. Ale warto zdobyć się na trochę poświęcenia.

- Kiedy patrzyłam dzisiaj, jak startuje ich samolot, Pacyfik wydał mi się taki ogromny. Ale teraz stoję na pewnym gruncie. Mam twoją miłość i odległości nie są już ważne.

- Nic nie jest ważne, jeśli jesteśmy pewni siebie nawzajem. Reszta sama się ułoży - szepnął i gorąco ją pocałował.

## EPILOG

To nic przyjemnego, powtarzał Steve w myślach. Absolutnie nic przyjemnego.

Candace ścisnęła kurczowo jego rękę. Była spocona, wykończona. Poród trwał od szesnastu godzin. Nie mógł patrzeć na jej męki, wściekała go własna bezsilność. O tak, w przygodzie zwanej miłością przychodzą momenty, które zdecydowanie nie są niczym przyjemnym.

- Wspaniale się spisujesz, mamó - chlipnęła Maddy, która stała po drugiej stronie łóżka. - Jestem z ciebie dumna.

Candace posłała córce pełne miłości spojrzenie. Obydwoje ucieszyli się ogromnie, gdy Maddy oznajmiła wcześniej przez telefon, że chce być na ślubie, a potem przy porodzie.

- Rozmawiałam z babcią i chciałam cię przeprosić, że w wakacje zachowałam się jak rozpuszczony bachor.

Candace i Steve ustalili, że wezmą ślub w Wigilię Bożego Narodzenia, tuż przed wyznaczoną datą porodu, tak by Maddy mogła być obecna przy obu wydarzeniach. Dwudziestego trzeciego grudnia zaczęły się pierwsze skurcze i już się wydawało, że ślub trzeba będzie przełożyć.

- Byłoby naprawdę lepiej, gdybyś trochę się wstrzymał - przemówiła Elaine z wyrzutem do okrągłego brzucha Candance. - Twoja duża siostra chciałaby zobaczyć, jak przychodzisz na świat. Ja poczekam na ciebie w jakimś cywilizowanym miejscu, na pewno nie w porodówce. Najpierw chciałabym jednak zobaczyć ślub twoich rodziców.

Mały posłuchał babki. W Wigilię o siódmej wieczorem w miejskim parku odbył się skromny ślub, a teraz, siódmego stycznia, dokładnie w wyznaczony dzień, Candace zaczęła rodzić. Elaine czekała na wnuka w domu, Maddy była przy matce, zmęczona i okropnie przejęta.

- Już za chwilę - oznajmiła położna.

Pojawiła się główka, rączki, tors. Mały się urodził! Położna owinęła różowego, jeszcze okrwawionego noworodka w ręcznik i położyła go na piersi Candace.

- Jaki on jest śliczny! Cudowny! Maddy zupełnie się rozkleiła.

- Wiedziałam, że będzie wyjątkowy, ale nie myślałam, że aż taki wspaniały. Och, mamoo...

- Tak się cieszę, że jesteś tu z nami, kochanie - szepnęła Candace do córki i spojrzała zmartwiona na Steve'a. - Nie boli cię ręka? Strasznie ją ściszałam...

- Nic mi nie jest. - Nachylił się, odgarnął jej kosmyki włosów z czoła i pocałował. Przepelniały go duma, miłość, potrzeba opieki, uczucia tak intensywne, że niemal sprawiały fizyczny ból.

- Wiesz, mamoo, było warto. - Maddy ze śmiechem ocierała z policzków łzy. - Warto było przejść przez te wszystkie okropieństwa. Nigdy nie przypuszczałam, że potrafię powiedzieć coś takiego.

- Myślisz, że ona ma rację, Steve? - szepnęła Candace, patrząc na męża ponad główką małego.

- Musisz pytać? - odszepnął.